KORESPONDENCYA
JÓZEFA BOHDANA ZALESKIEGO

(Ciąg dalszy).

Do P. Bronisława Zaleskiego, w Paryżu.

Paryż, 26. maja 1864 r.

Mój drogi, odbieram w tej chwili kartkę z Hyères od Pani Dyonizyi[1]). Oto co mi pisze o poczciwym Bolesławie[2]): „Anioł[3]) „już odleciał spokojnie, bez wielkich cierpień ciała ni duszy. Na „Bolesława straszno patrzeć. Zmienił się do niepoznania. Milczy, „płacze chwilami i dzień i noc chodzi po pokoju bezustannie. „Chwili spoczynku znieść nie może. Oczekujemy Bronisława niecierpliwie, on go kocha i lżej mu będzie, jak go obaczy. Wszyscy u nas mieszkają“ i t. p.

Oczywiście pisała to pod pierwszem wrażeniem boleści Bolesława. Od tego czasu musiał już odebrać nasze kartki. Zapewnie coś nam odpisze. W każdym razie, jeślibyś chciał pojechać do niego, mogę Ci zaawansować paręset franków, albo z moich, albo z depozytowych.

Ściskam

Twój

J. B. Zaleski.

---

[1]) Poniatowskiej.

[2]) Świętorzeckim.

[3]) Pani Świętorzecka.

Do Pani Dyonizyi Poniatowskiej, w Vichy.

Paryż, 18. czerwca 1864.

Moja droga..... U nas w domu po staremu. Dzięki Bogu, płużym ze dnia na dzień tułaczy żywot w spokoju i rezygnacyi. Między młodą emigracyą wielka nędza, a obok niej zgiełk, swary, i co gorsza, rozczarowanie i upadek na duchu. Przez wiele pokoleń powtarzamy jedną i tą samą piosnkę. W kraju, straszny, bezbożny ucisk i bezsilny zabójczy smutek. Naród schodzi w katakumby, bodaj na modlitwę a nie na konanie. Odechciewa się dziś i czytania o męczeństwach. Modlimy się w odosobnieniu. śród Paryża, jak na pustyni.

Całuję rękę Dyźci. ściskam i pozdrawiam Daryusza i Kostunię.

Wasz

Józef Bohdan.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

Paryż, 28. czerwca 1864.

Mamciu droga, długośmy do Ciebie niepisali, to myśliłaś, że które chore. Oj! chorzyśmy, duszko, chorzy wszyscy moralnie. Niewypowiedzianie cierpiemy w duchu, jak i Mamcia, nad stanem obecnym Polski naszej i całej chrześciańskiej społeczności. Książe tego świata widocznie górą. Przeżyć się, przeżyć nadzieję wypielęgnowaną w sercu od tylu lat, i to na schyłku życia, kiedy już na poczęcie i wypiastowanie nowej braknie tchu w piersiach i sił, to ból nad bole! Doprawdy opadają ręce, wstrętne i pisanie i wszelaka umysłowa praca. Przeżuwać co rano truciznę, to jest czytać o sprosnych, bezbożnych mękach, jakich się dopuszczają car i spółka, i z tej powszedniej trucizny udzielać jeszcze i biednym bliźnim, toć hańba i grzech. Dla tegoć, najmilsza moja, rzadziej do Ciebie piszę. Modlę się w niebogłosy w kościele i między czterema ścianami, ale co cierpię w głębi duszy, taję nawet przed najbliższymi. Na co zachmurzać młodziuchne czoła, na których Bóg niestarł jeszcze pogody? Dla siebie mało już potrzebuję i dla tego najczęściej tylko obcuję z moim Józefem.

A żal się Boże, kochana Mamciu! Od czasu kiedym pisał *Przenajświętsza rodzinę*, nigdy nie byłem w takiem rozśpiewaniu ducha, w takiej pełni twórczości jak dzisiaj. Gdybym, jak ongi, zamknąć się gdzie mógł w pustyni na kilka miesięcy, wyśpiewałbym Narodowi pieśń pieśni, pożegnanie łabędzie. Święć się. wolo Pańska! to już zapóźno. To tylko rojenie, urojenie, pokusa trapiąca za zmarnowaną młodość. A domże? A żona? A dziatwa łaknąca opieki mojej i którym, jak tysiącom braci, lada dzień zabraknąć może powszedniego chleba. Usiłuję atoli, Mamciu, niekiedy chwile te natchnienia skrystalizować, choć w atomy, w dumki, w pyłki i t. p., które sypią się jak z rękawa. Z biedy i to zda się bodaj na *post scriptum.* W Polsce naszej poezya ucichnie na długie czasy. Ja com śpiewał kiedyś dla niej przygrawkę, radbym zdobyć się jeszcze i na uroczysty *finał.* Zresztą, niepora dziś myśleć o drukach, byłyby niepopłatne i bez czytelników. Co innego mają ludzie w głowie i w sercu.

Po staremu, Mamciu, zadumałem się i nabazgrałem o niestworzonych rzeczach, ale wolę jeszcze to, niż pisać o Murawiewach, Bergach i t. p. Przerwał mi list świeżo przybyły z kraju Rutkowski, siostrzeniec Pani Taubowej i śp. Rościszewskiej. Nasłuchałem się relacyi, że serce boli. Tyle tam było dobrego i złego, złego wszakże więcej!

29. Czerwca, w dzień SS. Apostołów Piotra i Pawła. — Wczoraj, duszko Mamciu, po wyjściu Rutkowskiego, zjawił się nowy gość. Musiałem, rad nierad, zaniechać skończenie listu. Dziś niepamiętam już o czem jeszcze chciałem pisać. A i usposobienie dzisiejsze w duszy odmienne. Rzewniej mi w sercu przy święcie wielkich Apostołów. Przy kommunii polecałem ich modlitwom Kościół św. uciśniony, Piusa IX-go i owieczki jego biedne w spustoszonej Polsce. Żal się Boże, Mamciu, że w epoce naszej niema świętych, godnych ofiarować się na całopalenie Panu! Niewątpliwie uczynili by więcej dla pokoju, niż ministrowie wszyscy i wojownicy. Na świecie źle, racyonalizm wzbiera jak powódź, a niema komu zażegnać grożących klęsk, jak je zażegnał kiedyś błogosławiony Jan z Dukli, w czasie oblężenia Lwowa przez Tatarów i kozactwo Chmielnickiego. Módlmy się więc, ach módlmy o takich Janów dla Kościoła i dla Polski. Mamcię duszkę dziwi i gniewa, że ludzie bredzą, bluźnią itp. Tak zawsze bywało na świecie. Ale niechno powieje Duch święty i pojawi się Mąż Boży, to światowi mędrkujący upadną w proch u stóp Krzyża Pańskiego. Mądrość bo przemienna, a tylko wiara wieczna. Bóg nie przestanie

nigdy czynić cudów, ale czeka na wołanie świętych swoich, którzy zwyczajnie jawią się w najcięższych czasach. Niewyczerpany w tem przedmiot do pobożnych rozmyślań. Czasem, duszko Mamciu, zdaje mi się, że zajrzałem gdzieś w dali Męża Boskiego i zrywam się z całą gorącością Pawłową, a przynajmniej z gorącością, na jaką mnie stanie. . . . .

. . . .

Wiem od Bronisława, że Świętorzecki przyjeżdża do Paryża w sobotę i zamieszka z nim i z Kruniewiczem. Wolałbym, żeby odnajął u mnie pokoik Józefa i przyległy dziecinny. Ulżyłby mi w kosztach, to mógłbym i nadal pozostać w jasnej, ślicznej salce, która jest mojem *atelier*. Salka moja, to jedyny zbytek, jakiego się dopuszczam na emigracyi przez wzgląd na poezyę. Jestem pewien, że potomność nie wzięłaby mi tego za złe. Z tem wszystkiem czas obecny inaczej doradza, trzeba porzucić cichy kąt.

Całuję z czułością ręce Mamcine i t. d.

Zawsze Mamcin

Bohdan.

Do Pana Leonarda Chodźki [1]), w Paryżu.

Paryż, 4. lipca 1864.

Szanowny Ziomku, śmiem Ci polecić rodaka zasłużonego w powstaniu Pana Karosińskiego. Potrzebuje on jednorazowej zapomogi z komitetu francusko-polskiego. Ma już zajęcie u P. Gonin, ale brak mu funduszu na pierwsze wstępne sprzęty i robotnicze odzienie.

Łączę i t. d.

J. B. Zaleski.

Przy sposobności wstawiam się za P. Hoffenblumem, który w tych dniach miał zamiar kołatać do Ciebie o podobnąż pomoc. Znam P. Hoffenbluma z najlepszej strony i z dawien dawna.

J. B. Z.

---

[1]) Listy do P. Leonarda Chodźki pochodzą ze zbiorów Muzeum Polskiego w Rapperswyll.

Do Pana Leonarda Chodźki, w Paryżu.

Paryż, 17. lipca 1864.

Szanowny Ziomku, od niejakiego czasu często się Tobie uprzykrzam, ale jestem pewien, że nie weźmiesz mi tego za złe, przez wzgląd na intencyę patryotyczną.

Tym razem polecam Ci Pana Izydora K....., kapitana z korpusu Jenerała B..., który był w dwudziestu ośmiu utarczkach i parę razy ranny. Znam go od trzech lat od szkoły w Cuneo, z pracowitości, prawości i patryotyzmu polskiego, tem cenniejszego, że P. K... pochodzi ze starozakonnych. Chodzi o wyrobienie mu zapomogi z komitetu francusko-polskiego.

P. K.... w tych dniach ma wejść do fabryki broni, a więc nie będzie wam długo natrętnym. Poprzyj, kochany Ziomku, prośbę jego u P. Lafayetta. Jeśli potrzeba poświadczenia na prośbie, najchętniej poszukam dlań kilku rodaków.

Łączę i t. d.

J. B. Zaleski.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

Paryż, 27. lipca 1864.

Kochana Manciu, z powodu ciągłej zmiany powietrza, to słoty, to wiatru, to gorąca nabawiłem się gryppy. Nie jest to choroba, ale jakiś stan pośredni, niezdrowie. Chrypka z kaszlem, łamanie w kościach, ociężenie w całem ciele oddziaływają mocno na umysł i czynią go do niczego niesposobnym. A tu zaległe korespondencye, egzamina w szkole Batiniolskiej, mnóstwo obowiązków za domem i w domu zmuszają do ruchu i do czynności. Do Manci ze dnia na dzień odkładam pisanie, bo w takiem usposobieniu duszy listy zwyczajnie bywają niesmaczne. Dziś rad nierad biorę pióro, bo nie chcę, aby Mancia szkodowała w czem z powodu mego humoru.

Dziękuję, Manciu, dziękujemy oboje za długi, za śliczny, miły i budujący list. Niemogliśmy się nim nacieszyć. Obrazy komiczne, a treść pełna żałoby. I duszek Manciny, po zasłudze pięknej i pożytecznej pracy, ostrzem oto goni w niebo. Wypogodniał na wysokościach, w rozpamiętywaniu dziejów starego i nowego

Zakonu. Niech będzie Pan pochwalon za tę łaskę dla Mamci natchnień świętych i pokoju. Bez tej osobnej łaski Mamcia i Mamcini, w gorącej wodzie wszyscy kąpani, niedaliby sobie rady na tym szerokim Oceanie świata wzburzonym dziś do dna i na długie czasy. Ksiądz Jełowicki ureczał mnie, że pochwały, jakie głosi o pracy Mamcinej, są wyjęte z ust ks. Piotra, który je sam niebawem listownie powtórzy. Dobre i to na zachętę, na osłodę i ochłodę w skwarach tam i gorzkościach Mamcinej Hyerskiej pustyni.

Ksiądz Aleksander po staremu ochoczo i żwawo krząta się około swojej trzody. Na niedzielę zapowiedział odpust dla nas. Kapucyni rozpierzchli się po klasztorach, ale Ojciec Fidelis zostanie się jakiś czas przy Assomption. Ks. Aleksander dużo ma kłopotów z księżmi świeżo przybyłymi z kraju. Radziby wziąć ster religijny i polityczny na emigracyi. Otóż duszko, potknęli się zaraz na pierwszym poskoku. Wydrukowali we wszystkich językach odezwę do duchowieństwa katolickiego całego świata, która nas wielce zgorszyła. Oprócz tego, że prawią w niej kommunały ni w pięć ni w dziesięć, nieszanują także hierarchii kościelnej, bo działają bez upoważnienia Rzymu, tudzież biskupów krajowych i Paryskiego. I o cóż im głównie idzie? O trzy rzeczy. Na pierwszem miejscu postawili pieniądze, to jest składki po parafiach, na drugiem modlitwę, na trzeciem agitowanie mas za Polską. Ma się rozumieć, że bez pozwolenia Arcybiskupa, niczego tu nie wskórają, jątrzą się też straszliwie na duchowieństwo francuskie. Usiłujemy złe wrażenie wystąpienia księży polskich zatrzeć między tutejszymi katolikami. Na ks. Aleksandra spadnie stąd całe brzemię trosk i nieprzyjemności. Już dziś szczwają przeciw niemu powstańczą młodzież. Na szczęście zahartowany on dawno na wszelkie pociski, a przytem niesłychanie przytomny i obrotny, istny pleban emigracyi.

Poznałem się z Bosakiem. Młody, dzielny, miły, posiada osobny dar ujmowania ludzi. Inteligencya zdaje się nie nadzwyczajna, ale talenta wojskowe już wypróbowane. Niestety ułożenie salonów Petersburgskich, a w akcencie zacina z moskiewskiego. Nie winien on temu. Nikomu się w rodzinie nie śniło kształcić go na Polaka. Otóż w tem tkwi cud boży! W sercu kiełkowało wciąż uczucie polskie. Poświęcił dla niego świetną karyerę wojskową i świetniejszą jeszcze na dworze, bo ciotka jego jest za bratem rodzonym cesarzowej moskiewskiej. Otóż bałem się, aby się nie poniewierał na emigracyi, mieszając się do sporów

o rządy itp. Widzę jednak, że da sobie radę. Umie zręcznie i z powagą manewrować między stronnictwami. Zdaje się, że najściślej zaprzyjaźnił się z Bronisławem Zaleskim i z Bolesławem Świętorzeckim.

Na razie, duszko, niemam innych nowinek. W domu gwarniej, bo więcej swobody pod wakacye, a przytem i nadzieja wycieczek po okolicach.

Całuję ręce i t. d.

Józef Bohdan.

Do Księdza Ludwika Jażdżewskiego[1]), w Londynie.

Paryż, 29. lipca 1864.

Szanowny i kochany księże Ludwiku, na wstępie oto piszę po imieniu księże Ludwiku, bo chcę po staropolsku rozbić raz na zawsze pomiędzy nami lody konwenansów światowych, chcę stanąć w powadze wieku i w całej prawdzie uczuć moich dla Ciebie.

Dziękuję najserdeczniej, księże Ludwiku. za Twój miły list z Litham, i zarazem przepraszam za spóźnioną nieco nań odpowiedź. Zwykle odpisuję *stante pede.* W odezwie Twojej do mnie nie było pobudki naglącej. i owszem czułem, że godziło się uszanować ciszę i spokój Twojej villegiatury. Zresztą na bruku tu Paryskim nie było ani jednej milszej wieści, którąby można roz-

[1]) Odsyłając odszukane listy Bohdana Zaleskiego, ksiądz Prałat Jażdżewski pisze: Środa 10. czerwca 1893. Łaskawy Panie! Na list z d. 6. b. m. odpowiadam uprzejmie. że w swoim czasie dość często korrespondowałem z ś. p. ojcem Pańskim, ale niestety listy ś. p. Bogdana rozprószyły się przy mojej przeprowadzce z Londynu do kraju, tak że tylko jeszcze mogłem odszukać załączone listy. Korrespondencyi wszelakiej takie mam tu stosy, że trudno przez nią przebyć. W czasie pobytu mego dość często w Paryżu w r. 1864 i 1865 bardzo dużo miałem osobistej kommunikacyi z ś. p. Bogdanem, którego całem sercem kochałem, jako jedną z najidealniejszych postaci w emigracyi i jako jednego z najlepszych ludzi. których znałem. Żałuję, że więcej jego listów wynaleść nie mogę, ale co mam pod ręką. to przesyłam.

Z szacunkiem i poważaniem

powolny sługa
Ks. L. Jażdżewski.

grzać duszę, lub serce polskie ukoić. Wstrętno i bodaj grzesznie dmuchać komu w oczy chłodną mgłą.

I dziś mgła, taż sama mgła wiecznie wiejąca z Polski. Potrzeba się atoli z nią pomału oswajać, bo siły duchowe człowiecze prawem ciążenia swego muszą powrócić do równowagi. My przynajmniej, my osiwieli na tułactwie, już spokojniej rozpatrujemy się w tej mgle. Czy dalej i jaśniej widzimy? O tem nie łacno zawyrokować. Pogrom świeży, nie ma co taić, poraził i przeraził kraj na długo: całe pokolenie skazanem jest na straszne męki, osobliwie na Litwie i na Rusi. Pomimo pogromu i jego następstw, Sprawa Polska stoi wciąż jak słońce na wysokościach Bożych. Albo i całej Europie skupczałej, spoganiałej grozi dola Polski, albo odnowionej na duchu gotuje Pan obok Polski świetniejszy zawód w dziejach ludzkości. Walka tedy zagajona jest i wre — między cywilizacyą chrześciańską a barbarzyństwem, między dobrem a złem, między życiem a śmiercią. Polska nasza musi zmartwychwstać.

Między młodymi emigrantami tłumnie tu przybywającymi z pobojowisk, przeróżne są widzenia sprawy Polskiej. W gorącości krwi swej, w podrywie namiętności unoszą się za istnemi mrzonkami, budują to na królach, to na ludach, rozdymają pęcherze jakichsiś nowych nadziei, które niebawem pukną na czterech wiatrach. Żal się Boże, iż doświadczenie jednego pokolenia nie uczy następnych! I my, tak samo szamotaliśmy się w czczości za młodu. Dla tego i nie dziwim się dzisiaj gwarom i swarom o władzę, o taką lub owaką organizacyę Emigracyi itp., chociaż wiemy doskonale, że te wszystkie zachcianki nie mają gruntu pod sobą ni wewnątrz ujęcia. Obecnie odbywają się narady między młodymi jenerałami, względem ustanowienia Komitetu zawiadującego młodzieżą gotową do boju. Myśl sama w sobie wyśmienita, ale wykonanie jej prawie niepodobne we Francyi. Bossak i Kruk dzielni wojacy, zwracają tu na siebie powszechną uwagę rodaków. Bossak ma nawet dar Kościuszkowski, ujmowania serc ludzkich.

Ks. Jełowicki wrócił z Rzymu. Kongregacya odbyła się pomyślnie. Ks. Kajsiewicz pozostaje i nadal Przełożonym Zmartwychwstańców. Kilku młodych księży z Kongresówki weszło do ich zakonu. Zapewnie, kochany księże Ludwiku, czytałeś po dziennikach świeżą odezwę księży Polskich z Paryża do duchowieństwa całego świata katolickiego. Zgorszyłem się nią. Brak pokory, brak taktu, obok pretensyi do politykowania. Bez uszanowania

form kościelnych, bez upoważnienia Rzymskiego i hierarchii Biskupiej śmią występować przed publiczność katolicką. I o cóż im idzie? Oto w konkluzyi na pierwszem miejscu stawiają składki pieniężne, potem dopiero modlitwę i agitowanie mass za Polską. Obraża to uczucia nasze i katolickie i Polskie.

U mnie w domu, dzięki Bogu, wszyscy zdrowi. Chłopcy odbywają właśnie w szkole Batiniolskiej roczne popisy z nauk. Ja jestem egzaminatorem Polszczyzny we wszystkich klasach. Wogóle, pomimo niegodziwego cudzoziemskiego akcentu, młodzież emigrancka dużo korzysta, osobliwie zna gramatykę i historyę Polską. Za dziesiątek dni rozpoczynają się wakacye. Radbym wywieźć synów moich kędyś nad morze, ale niewiem czy okoliczności przeróżne pozwalają na to. Kłopoczem się, co poczniem z dziećmi po wakacyach. Szkołę Batiniolską może wypadnie zamknąć. Kraj przestał dostarczać nam funduszów, a francuskie szczupłe i niedostateczne. Jestem ojcem rodziny i członkiem Rady Szkolnej, to podwójnie szamotam się w myślach za utrzymaniem Szkoły Polskiej. Galicya i Poznańskie, gdyby chciały, nie dopuściłyby tej katastrofy na emigracyi. Kołaczem na różne strony, ale w kraju dziś ubóstwo i po świeżej klęsce chłód i jakaś nieczułość. Wątpimy, abyśmy w tym roku mogli przyjąć do szkoły dzieci emigracyi Londyńskiej.

Proszę kiedy niekiedy wspomnieć o mnie przy Mszy św., osobliwie 8-go dnia każdego miesiąca.

Dość na dziś. Polecam się, kochany księże Ludwiku, z całem gronem domowem Twoim kapłańskim modlitwom i polskiemu sercu.

Wierz stałej życzliwości mojej i przyjaźni.

J. B. Zaleski.

Do Hrabiego Ksawerego Branickiego, w Paryżu.

Paryż, 31. lipca 1864 r.

Szanowny Hrabio Ksawery! Dwa lata temu z górą, przy ofiarowaniu jednorazowej zapomogi 500 fr. dla Stowarzyszenia Podatkowego, oświadczyłeś mi, że lubo nie chcesz, abym Cię wpisał na listę członków stałych, w razie jednak potrzeby, abym śmiało do Ciebie kołatał. Nie byłem, sam to przyznasz, Hrabio, natrętnym. W Komitecie zresztą budowałeś nas Twoją

obywatelską hojnością. Położenie teraźniejsze kraju, jak wielu Instytucyom na Emigracyi, tak i Stowarzyszeniu Podatkowemu wróży smutną przyszłość. Żal się Boże, gdyby upadło. W cichości dużo dobrego czyni. Proszę przeczytać drukowane sprawozdania. Kilkunastu napoleońskim weteranom różnych stopni wojskowych, wypłaca wprawdzie szczupłe ale dożywotnie pensye emerytalne. Kilkanaścioro sierot polskich obojej płci utrzymuje po szkołach itp. Instytucya nasza w miarę wzrostu zasobów, zajmie się i nowymi emigrantami. W takich rzeczywistych i nagłych potrzebach Stowarzyszenia, jako Prezes jego, śmiem, kochany Hrabio, odwołać się do Twojej dawnej obietnicy.

Dotąd, sam tylko Humański mój Hrabia Aleksander corocznie najakuratniej i najhojniej wspiera Stowarzyszenie. Chlubnie by mi było, gdybym obok niego zamieścić mógł i bliższego spółukraińca z Białejcerkwi. Na pozór wyrazy te trącą powiatowszczyzną, ale pod niemi tkwi myśl arcy-polska, którą jestem pewien, Hrabio Ksawery, ocenisz w znaczeniu właściwem.

Przy sposobności, przyjmij, kochany Hrabio, zapewnienie szczerego poważania i statecznej mojej życzliwości.

Sługa

Józef Bohdan Zaleski.

Do Pani Dyonizyi Poniatowskiej, w Vichy.

Paryż, 21. sierpnia 1864.

Droga moja, jutro całym domem odjeżdżamy do Fontainebleau naszego, kędy tyle wspomnień, dla dzieci radosnych, a dla nas arcysmutnych.

U nas tu po weselu Kazinym [1]), nastały znowu smutki. Umarła księżna Władysławowa [2]). Królowa matka i cesarzowa w lamentach zamykały jej oczy. Pogrzeb odbędzie się we środę.

Słówko, Nisiu, Twego ostatniego listu ciągle mi brzmi w uszach: „kiedy się obaczymy?“ Bóg wie. Ja widocznie wątleję na siłach, usycham w tęsknocie po druhu. Na duchu atoli nieupadam. I owszem, w zmierzchach mego wieczora miewam świeższe natchnienia niż ongi w obrzaskach poranku. Nigdy za młodu

---

[1]) Plichta.

[2]) Czartoryska.

nie dzwoniło mi w słuchu tyle dumek i dum. Prosiłbym, duszko, abyś mi przysłała żywot św. Michała, W-go księcia kijowskiego i kilka legend co najpiękniejszych o świętych naszych. Możeby mi udało się coś o nich napisać popularnego, na nutę starosławnego Bojana. Nic jednak nagłego. W Fontainebleau nie będę miał swobodnego kąta. Zacznę dumać na prawdę dopiero po wakacyach...

Otóż i wszystko, całuję ręce i modlitwom się waszym polecam

Bohdan.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

Fontainebleau, d. 26. sierpnia 1864 r.

Moja droga Mamciu, od kilku dni przechadzamy się po Fontainebleau i po laskach okolnych, dawno znajomych, zaludnionych tyloma wspomnieniami miłemi i najmilszemi z innych lat, ale owianych dzisiaj mgłą, och! całunem świeżych pogrzebów, że doprawdy oboje z Zosią przechadzamy się niby po wielkiem cmentarzysku. Co chwila ocieramy łzy, to modlimy się po cichu. Dla mnie osobliwie, Fontainebleau pełnem jest melancholii. Znamy się z górą trzydzieści lat. Przedumałem tu resztę młodości i cały wiek mój męski, obok Józefa, Różyckiego, Mickiewicza, Witwickiego itd. Co tu nie śniłem o Tobie, o Dyzi, na jawie i w pieśniach! Tutaj porodziły się i wychowały dzieci moje! bez liku, ach! bez liku zmor z minionej przeszłości... To też tułam się po lesie, w ciągłem rozrzewnieniu: stary pielgrzym polski, nižę na różaniec wonny Panu perły życia, które ongi roniłem tu niebacznie. „Starość nie radość", urywam dumanie moje komunałem.

Za to chłopcy moi, tutejsi urodzeńcy, używają swobody i pogody za wszystkie czasy i prawdziwie po studencku. Skaczą po zwałach skał i wyśpiewują w najlepsze. Tyle bo ich, kochana Mamciu! Za lat kilka i oni spoważnieją, zesmutnieją w zapasach z powszedniemi kolejami życia.

Zosia moja najpoczciwsza krząta się około domu, biega za wiktuałami, sama kucharzuje i sama nam służy. Życie tu nieco tańsze, to radaby zaoszczędzić się na koszta podróży i stancyi. Owoce mianowicie są tu za bezcen.

Od Dyzi rzadko miewam listy i króciuchne. Oczywiście musi być w Kronikach po uszy. Pisała mi, że w tym roku nie przyjada do Paryża. To kiedyż się obaczym? Melancholiczne to zapytanie brzmi ciągle w uszach.....

Z Paryżem niemam stosunków, *Czas* i *Dziennik Poznański* kazałem tu przysyłać, ale puste i smętne i mętne. Gałęzowski stary z Ordęgą wyjechali do Vichy. Dyzia mieć będzie najświeższe wiadomości krajowe i wprost od dygnitarzy Rządu Narodowego.

Całuję ręce mojej Mamci

Bohdan.

Do P. Bronisława Zaleskiego, w Saint-Malo.

Fontainebleau, d. 1. września 1864 r.

Umyślnie, kochany Bronisławie, nie odpisywałem Tobie — aż odbiorę list z Litwy. U nas na emigracyi nie ciekawie, jałowo — to tyle miłego co doleci nas od rodzin dalekich.

Otrzymałem i drugi list, ale z Kijowa i wyraźnie do mnie. Jakaś bez imienia Pani M. patetycznie i poetycznie z osobliwą czcią i miłością dla mnie — zapytuje o męża swego — gdzie jest i jak mu się powodzi. Oczywiście pisze mi jak o znajomym moim i przyjacielu. Otóż zachodzę w głowę kto może być ten mąż! . .
. . . .
. . . .

Dziesięć dni oto używamy willagiatury. Urodzeńcy fontenebioscy są uszczęśliwieni. Żona moja i ja chodzim chmurni. Zewsząd wieją nam tu w oczy całuny grobowe. Dla mnie osobliwie, Fontainebleau arcysmutne. Wspomnienia z 30 lat łażą za mną wszędzie jak zmory i upiory. Wyjeżdżam jutro na kilka godzin do Paryża dla interesów. Zabawimy tu do końca września. Jeśli wcześnie wrócisz do Paryża, odwiedź nas w naszej pustyńce.

Łączę uściśnienia i pozdrowienia

Twój

Bohdan.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

Paryż, 6. października 1864 r.

Droga moja Mamciu, od kilku dni wróciliśmy do Paryża, a od wczoraj dziatwa rozpoczęła swoje nauki w szkole. znowu tedy pusto i głucho u mnie w domu. Pierwsze tedy słówko wyprawiam do Mamci. aby pobłogosławiła nam w sercu i w modlitwie.

Niema tu nic ważnego. Rodacy w kraju i za granicą po świeżych klęskach przycichli po kątach, w rozpamiętywaniach, daj Boże. poczciwych. . . . .

Całuję i t. d.

Bohdan.

Do Pana Józefa I. Kraszewskiego, w Dreźnie.

Paryż, 12. października 1864 r.

Kochany Panie Józefie, wakacyowaliśmy obadwa z Bronisławem. On używał kąpieli morskich w Saint-Malo. Ja, obyczajem cygańskim z całą rodziną koczowałem w lesie Fontenblowskim. głównie dla zdrowia i dogodności moich studentów. Za powrotem z willagiatury zastaliśmy tu Twoje listy. Bronisław zapewnie już Ci odpisał.

Poją żółcią, poją octem nas, to i w pismach naszych gorycz kwasu. Tak jest, Panie Józefie, a po bożemu nie powinnoby tak być. Piszesz do mnie zbolały w duszy, i łaknący utulenia. Niestety pocieszenie dać może jeno Ten, który odjął je nam i całemu naszemu Narodowi. Boleść, to polski powszedni chleb, który spożywamy na pokoleniach. Jako pierwsi chrześcijanie kędyś w katakumbach i przy ołtarzach, utulmy się. aż miną dni próby, aż Cezary i zwierzęta ich zaryją się w proch przed gniewem Pańskim. Módlmy się o gorącość ducha Świętych Męczenników.

Rozumiem doskonale i spółczuję dzisiejszą mękę Twoją, Panie Józefie, w chwilach oto wzięcia ostatecznego postanowienia na przyszłość. Zostać z nami? czy wrócić do kraju? Do powrotu naglą mnogie a święte obowiązki ojca rodziny i obywatela: ku przyzostaniu się nęci miłość swobody i spokoju, tyle pożądanych

w starszych latach, zwłaszcza dla literata. Na razie niczyja Ci się rada nie przyda, bo rachunek sumienia sami osobiście przed Bogiem czynić jesteśmy obowiązani. Roztropność ludzka wymaga przedewszystkiem ubezpieczenia się na wsze strony. Co do mnie, gdybym mógł wrócić, a był młodszym i miał, jak ty, do kogo i do czego wracać, bez wahania się pożegnałbym cudze ziemie.

Oczywiście po staremu biedować mi trzeba będzie na tułactwie — aż zamrę. Święć się, wola Boża! Radbym jeno wychować dziatwę, a dospiewać swoją pieśń, nim uderzą głód i chłód. Z tem wszystkiem świeże tegoroczne moje poezye niewątpliwie lepsze są od dawniejszych pod wszelkim względem. Pisałem je połykając łzy mego Narodu, w potrzebie utulenia się gdzieś w raju duchowym. Czasy nasze arcysmutne i antyliterackie; pomimo tego atoli chce mi się ogłosić drukiem na próbę choć mały tomik. Nie wiem tylko zgoła, jak się do tego wziąć? Tu w Paryżu trudna sprawa. O druk łacno, ale ani myśleć o honoraryach tyle dziś potrzebnych. Naprzykład, Panie Józefie, za sprawę dotychczas ani grosz nie wpłynął. I to szczęśliwie, że ongi, wedle Twego polecenia, posłałem do Krakowa parę egzemplarzy karty Chrzanowskiego. Toż samo się stanie i z mymi drukami. Drukowałbym gdzieś indziej niż w Paryżu, ale w pismach są gdzieniegdzie nieuchronne inwektywy na Cara i na Moskali. Otóż w tem tkwi sęk. Kiedyś, jeśli zamieszkasz dłużej w Dreźnie, będę cię prosił o radę, jako doświadczeńszego w tych rzeczach literata.

Emigracya Paryska przycichła. Doskwiera wszystkim ogromna nędza. Starzy mrą, młodzież bawi się w dziesiątki, niby zawiązuje się w Stowarzyszenie wzajemnej pomocy. Mierosławski wydrukował paszkwil p. t.: *Dokumenta.* Oj smutno i u nas.

Łączę przyjacielskie uściśnienia. Kiedy niekiedy donoś nam o kraju i o sobie.

J. B. Zaleski.

Do Pani Dyonizyi Poniatowskiej, w Hyères.

Paryż, 30. października 1864.

Droga Dyziu, dawno wieści ni słychu o was. Mętno mi i smętno w duszy. Pojutrze dzień Zaduszny, uczęszczam na cmentarz, to po ścieżkach tam, zawsze mi się widzi, że i jam już w grobie. Ale serce boli, to znak żem żyw, i że miłuję po da-

wnemu. Nisiu, siostro moja, nie opuszczajcie mnie w starości mojej.

Mało wychodzę z domu. Nie pytam się o nowiny ze świata, ani u gości moich o nie badam. Podobno ks. Piotr ma tymi dniami przyjechać do Paryża. Biedny Świętorzecki utracił ojca, a jak tu rozgłaszają i matka sybiraczka dostała pomięszania zmysłów. Syn po dziś dzień o niczem nie wie. Bronisław czeka na list od jego siostry, a wtedy z ks. Aleksandrem udamy się we trzech z oznajmieniem sieroctwa.

Całuję ręce Twoje za siebie i za moich

Wasz

J. Bohdan.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

Paryż, 3. listopada 1864 r.

Długo, Mamciu kochana, niewiedzieliśmy co się w tem święci, że tak uporczywie milczysz a milczysz. Otóż przyszła miła kartka i od razu rozpogodziło się nam ślicznie w duszach. Potrzeba, duszko, choć parę słówek co piętnaście dni napisać do nas, abyśmy śród ucisków i dolegliwości obecnej chwili, czuli się zawżdy sercami przy sercach kochających. Bez tego tu na ziemi byłoby chłodno na śmierć. Dość o tych smutnych rzeczach, wolę wprost przystąpić do nowinek.

W Assomption u nas od kilku niedziel każe młody proboszcz londyński, ks. Jażdżewski, o którym, zdaje mi się, kiedyś już Mamci pisałem. Ma istotnie dar wymowy i dużo nauki. Onegdaj na Wszystkich Świętych mówił z ogniem i namaszczeniem, że poruszył wszystkich do łez, wczoraj słabiej, nie miał snać czasu należycie się przygotować. Najważniejsza, że pociąga ludzi. Starzy i młodzi emigranci tłumnie schodzą się do kościoła. Spotkałem sam rodaków niewidzianych od wielu lat. Ks. Jażdżewski zabawi podobno w Paryżu do końca listopada. Zresztą w Londynie niema co robić, śród protestanckiego indiferentyzmu, który niestety owionął i Polaków, pożenionych po większej części z Angielkami.

Między młodymi emigrantami dużo nędzy, ale niebrak i sympatyi dla nich między rodakami i Francuzami. Składki idą dość pomyślnie. Mężem jednak opatrznym dla nich stał się Eustachy

Januszkiewicz. Z niezmordowaną gorliwością zajmuje się ich losem. Przez stosunki swoje między kupiectwem i przemysłowcami francuskimi, umieścił już przeszło 300 po fabrykach, biurach, itp. Po kilkadziesiąt codzień listów pisze na różne strony, i drzwi niezamykają się u niego od rana do wieczora. Pan Bóg mu to niewątpliwie policzy za dawne obłędy w Towiańszczyznie.

I skądinąd, Bogu dzięki, pomyślne nowiny. Ks. Piotrowi szczęści się w Galicyi. Nietylko arcybiskup Wierzchlejski, ale i arcybiskup Litwinowicz goraco wzięli do serca sprawę seminaryum. Wpłynie to święcie na pojednanie się Rusinów z Lachami. Tu w Paryżu *Oeuvre du Catholicisme en Pologne* szerzy się po parafiach. Niedawno Proboszcz Magdaleny, ks. Deguerry prezydował na Zgromadzeniu, mówił patryotycznie za Polską i naglił do tworzenia konferencyi. Z czasem rzecz może wzrość we Francyi do rozmiarów większych, bo już wielu biskupów podpisało się na Akcie. Inicyatywa całej roboty wyszła od Władysława Platera, który obiegł wiele już dyecezyi, szturmem biorąc biskupów. Dotychczas wszystko dobre, ale zaczyna biskupów namawiać do uznania tajemniczego Rządu Narodowego, którego jest członkiem i agentem w Szwajcaryi. Do Monsignora de Sejur wodził już Gutrego, a bodaj i Kurzyne. Oczywiście po wyjeździe Platera do Zurichu, rzeczy wrócą do równowagi. Biskupi prawdopodobnie udadzą się do ks. Aleksandra, jako do znajomego sobie duchowego reprezentanta Polski.

W mojem takoż Stowarzyszeniu Podatkowem zaszły ważne zmiany na korzyść Inwalidów i Weteranów emigracyjnych. Kilkunastu rodaków a miedzy nimi i P. Władysław Zamojski poczynili dla nich wieczyste zapisy. Tym sposobem starcy nasi dostaną dożywotnie pensye. Rzecz sama z siebie arcypiękna i patryotyczna. Kłopot z formalnościami francuskiemi. Trzeba się udawać do prawników. Ustanowiliśmy Radę Nadzorczą majątku stowarzyszenia, na której czele stanie zapewnie P. Władysław Zamojski, jako najzamożniejszy między emigrantami i mogący dać wszelką rękojmię nietykalności kapitału. Ten interes publiczny głównie dzisiaj mnie zaprząta...

Całuję ręce i t. d.

Bohdan.

Do Pana Józefa I. Kraszewskiego, w Dreźnie.

Paryż, d. 14. listopada 1864 r.

Kochany mój i łaskawy Panie Józefie, dziękuję serdecznie braterską troskę, a przepraszam za żmudy, tudzież za trudy nudy korrespondencyj Twoich z księgarzami w moim interesie. że? daj odwdzięczyć się.

Otóż z drukami mymi, kochany Panie Józefie, toż samo się dzieci co z Twoją katedrą literatury. Na sercach ciąży nam wielka ości. polskie „a c h!" rozpiera piersi, że odechciewa się i sławy pożytku i wszystkiego. „Starzejemy się przytem", jak powiadasz hociaż ja, mówiąc nawiasem, starszym od Ciebie bodaj o krągły dziesiętek lat 1802 i 1812). Pomimo jednak wieku i wszelakich mąk moralnych, po bożemu nie godzi się upadać na duchu. Czuję ręką na sumieniu, że póki tchu, trzeba nam współdziałać z rokami, w czem jeno zdołamy p o c z c i w i e. Katedrę tedy przyjij, jeśli osądzisz, że będzie jaka taka swoboda dla Twego słowa bezpieczeństwo dla osoby. Ja z mojej strony na przekorę przyodzonemu wstrętowi obiecuję wdać się z księgarzami w konachty.

Na razie radbym rozpocząć od rzeczy lżejszej. W ciągu roku bieżącego upolowałem nieco pieśni, zdaje mi się, wyższego i sympatyczniejszego nastroju, niż dawniejsze. Pieśni te chcę zatytułować: *Ku nowej wiośnie. Trzecia księga Dum a Dumek Bohdanowych*. Jak pisałem Ci dawniej, Panie Józefie, są tam patryotyczne uniesienia i przyostre nieraz inwektywy na Moskali. Tomik mój wydrukowałbym w Lipsku lub w Paryżu, ale oczywiście będzie zakazanym w Kongresówce, a może i w Galicyi, to i jakże rozprzedać edycyę? Czyby księgarze Poznańscy i Galicyjscy nie podjęli się puścić cichaczem choć kilkuset egzemplarzy? Nie śmiem tej propozycyi podawać n i e z n a j o m y m, a bez poręczenia tych Panów utraciłbym niewątpliwie cały nakład i w czasach takich ciężkich. Bądź łaskaw wybadaj w tej mierze Merzbacha i Żupańskiego. Gdyby się edycya udała, drukowałbym zaraz co innego. Dwa lata temu, z powodu Tysiącolecia Piastowego napisałem był poemacik obszerniejszy niż Przenajświętsza Rodzina i niemal tego samego tonu. Ruch warszawski pomieszał mi szyki, nie dał dokończyć trzeciej części, a i w treści całej rzecz nieco zwichnął. Mógłbym to atoli przy swobodniejszym dziś umyśle sprostować, naprawić i dośpiewać. Na kilka dni przed wybuchem Stycznio-

wym, odebrałem już byłem nawet list od Żupańskiego z propozycyą nabycia poematu, ale po krwawych wypadkach, nie można było ani myśleć o tem. Dwoma tymi tomikami chcę się przypomnieć publiczności polskiej nim zajmę się edycyą zupełną i poprawną wszystkich moich dawniejszych i nowszych wierszy. Edycye lwowskie, poznańska i petersburska wydrukowane bez mego dozoru, a poniekąd bez wiedzy i woli, wstrętne mi są całkiem. Nie mogę na nie patrzeć, tak niemiłosiernie pokiereszowane przez różnych urzędowych i nieurzędowych poprawiaczów, a w dodatku i zeszpecone przez drukarskich zecerów. Ś. p. Adam nalegał wciąż, abym drukował w Paryżu kompletną edycyę pod wspólnym dozorem, a księgarzom w kraju pozwolił jeno przedruk wedle miejscowych dogodności.

Przez wiele lat okoliczności krajowe i emigracyjne nie pozwoliły nigdy mi samemu tem się zająć. Wolff bogacił się w Petersburgu, sam się przyznał mi, że dużo zarobił na moich poezyach. Trzy lata temu proponował, że da parę tysięcy rubli, bylem poprawił i uznał edycyę jego za legalną.

Oczywiście nie chciałem poddać się pod cenzurę moskiewską. Im dalej w lata, tem rzecz naglejsza. Dziś muszę o tem myśleć i przez miłość własną autorską. Znalazłbym zaraz edytora nie księgarza, ale co zrobić z książkami po wydrukowaniu? Zostaną na półkach w Paryżu. Dla tego chętniebym wszedł w układy z Żupańskim, pod warunkiem, aby mi tu przysyłał oprewy do poprawek. Nie mam ani wyobrażenia, coby żądać było wolno za każdy tom? W tej mierze spuściłbym się zupełnie na Twój sąd, jako doświadczonego literata, nim przystąpię do układów z nim. Ile bić egzemplarzy? Na ile lat ustąpić własności? itp. Wszystko to sam z łaski swojej rozważ i ustanów, a ja ściśle się zastosuję do Twego zdania.

Przykro mi, że tego rodzaju banialuki pisać muszę we własnym interesie, aleś mię do tego, kochany Panie Józefie, sam ośmielił i niejako upoważnił. Obadwa co innego mamy w sercach i na myśli. Polska nasza wiecznie na torturach. To też urywam pisanie. Bóg z nią i z nami! Nie poddawajmy się powszednim smutkom.

Ściskam po bratersku i po koleżeńsku.

J. B. Zaleski.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

Paryż, 15. grudnia 1864 r.

Droga moja Mamciu, wszędzie pusto, głucho i smutno. Paryż sprawuje się jak najprzykładniej, po klasztornemu, bodaj zmnuiszeje. Rodacy także, na głodzie, na chłodzie radzi nieradzi przycichli po kątach. Księżna Marcellina i Pani Kisielew przyjechały tu z Niemiec w dobrem zdrowiu. Ta ostatnia opłakuje świeżą stratę dwóch przyjaciół swoich, t. j. Kościelskiego i Edwarda Koźmiana. Panna Wyczechowska przed kilkoma dniami wyszła za mąż za hr. Mola. — Budberg itp. obecnością swoją zaszczycili to wesele. Otóż i wszystko.....

Zamiast nowinek, załączam kartkę kopii kursorii, którą puściłem po Paryżu z powodu nabożeństwa za duszę Wołowskiego. Inicyatywa udała mi się. Składki pomyślnie idą. Okroi się coś z nich i dla Stowarzyszenia Podatkowego.

Całuję ręce i t. d.

Bohdan.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

Paryż, 22. grudnia 1864 r.

Kochana Mamciu.... chciałem Wam przy dorocznej pamiątce żłobka Pańskiego, złożyć życzenia miłosne w uczuciu prostaczka, betlejemskiego pastuszka, życzenia od siebie i od całego mego gronka. Przesyłam kawał opłatka, który Mamcia po staropolsku niech rozdzieli po okruszynie pomiędzy wszystkich naszych ukochanych, abyśmy tu i w Niebie byli jedno w Panu!

Mamciu moja rodzona, niesmuć się zbytnie listami z kraju.

Bóg nas nawiedził, bracia, rozpaczą,
Ale naznaczył jej bliski kres:
Więcej że, więcej, o! więcej łez —
Błogosławieni bo, którzy płaczą! —

Na wodach życia, które podsyca
Fala po fali, miłość to ból
Z łez skrysztalonych dla ziemi sól,
Albo perłowa pieśni macica itd.

I tak dalej, Mamciu, coraz górniej i ślicznej prawi Bohuś w nowej dumce swojej. Złośnicy Moskiewscy dokuczają srodze: ale Bohuś powetuje to im w potomności, powetuje w Duchu świętym i prawdzie. Co on nie wymyśla na nich.

Ks. Aleksander spodziewa się już rychło powrotu ks. Piotra. Ks. Jażdżewski odjeżdża już stąd do Londynu. Nabożeństwo za Męczenników Sybirskich odbyło się okazale. — Gosposie emigranckie i Zosia krzątają się około wilii. My będziemy mieli u siebie S. Goszczyńskiego, humańskiego druha mego od 50 lat, Bronisława, Rufina Piotrowskiego i Królikowskiego, a może i młodziutkiego powstańca Jasia Witwickiego. Ten ostatni, rodzony synowiec ś. p. Stefana i po mieczu ostatni już z rodu Witwickich. Siostrę ma, wdowę po Rawiczu, powieszonym tak okrutnie. Ładny, zdolny i ukształcony chłopiec. Przez cześć dla pamięci Stefana, przyjąłem go jak własne dziecię. . . . .

Całuję ręce . . . . .

Wasz

Bohdan.

Do Pani Dyonizyi Poniatowskiej, w Hyères.

Paryż, 22. grudnia 1864.

Moja droga i miła Dyziu, odszukałem nareszcie Bartoszewicza i wyprawiłem wczoraj do Hyères. Jak przejrzysz te bibliograficzne elukubracye, odeszlij na powrót, bo potrzebne są w Szkole Polskiej.

Prosiłem Mamcię, aby Was tam wszystkich obdzieliła opłatkiem, wedle zwyczaju staropolskiego, a który tak statecznie pielęgnował ongi ś. p. Józef. Osobno przy świątkach i Nowym Roku życzę Wam wszystkich błogosławieństw bożych. Niebawem pocznie się, Dyźciu, 30-te lato od poznania się naszego. Bóg pozwolił, żeśmy sobie wytrwali nawzajem w świętej miłości. Niech że będzie pochwalon teraz i na wieki wieków. Amen.

Dla mnie, duszko, módlcie się do Matki Boskiej o natchnienie czyste, promienne, jakie miewałem często w kończącym się roku. „Niech lutnię moją ma w świętej opiece — Niech śpiewam, śpiewam aż z ciała wylecę!“ — Buduję, Dyźciu, w miniaturze niby wieżę Strasburgską, dłutuję w kamyczkach świecących coś

koronkowego, wskróś przejrzystego, a ostrzem lecącego w górę. Ujrzysz kiedyś ten monumencik akustyczny, pełny głosów z przeszłości polańskich, Polskich, Ukraińskich i t. p. Postrzegam się, że bazgrzę nieskromnie i rumienię się w duszy. Wstyd mi i żal, to nie pokazuj tej kartki nikomu a nikomu, najlepiej spal.

Polecając oboje Was Łasce Pańskiej, całuję ręce Nisi mojej z czułością rodzonego.

Bohdan.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

Paryż, 8. stycznia 1865.

Kochana Mamciu, ...Wczoraj odbyło się nabożeństwo za duszę księżny Czartoryskiej. Byliśmy na niem oboje, ale w tłoku i zamodleniu mało kogo mogliśmy zajrzeć. . . . ,

Niema zresztą nowin. Biedny Bronisław Zaleski, mimo stanu swego zdrowia, musiał jeździć do Genewy, kędy stracił przyjaciela z Uniwersytetu i sybirskiego. Umarł Edward Żeligowski, ongi redaktor *Słowa* w Petersburgu i nasz także serdeczny znajomy.

Całuję i t. d.

Bohdan.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

Paryż, 22. stycznia 1865.

Wracam, Mamciu, z Assomption, z nabożeństwa na pamiątkę ostatniego powstania. Wszystko się odbyło przyzwoicie i ślicznie. Kościół był pełny wojaków młodych. Ks. Aleksander od ołtarza przemówił krótko, ale patetycznie, i co lepsze z taktem, świecie a patryotycznie. W kościele rozmawiałem chwilkę z Jenerałem Chłapowskim, który dopiero co przyjechał z Poznania, Ks. Koźmian w kłopotach o swój pensyonat, który Niemcy na gwałt chcą zamknąć. Poszła ta sprawa pod sąd samego Bismarka.

Jutro księża z nowej emigracyi wyprawiają w Sorbonie żałobne nabożeństwo za poległych. Idę na nie z ks. Aleksandrem i ze starą emigracyą dla okazania im, że spółczujem w jedności.

Całuję ręce i t. d.

Bohdan.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

Paryż, 24. stycznia 1865 r.

Droga moja Mamciu .....Dzień po dniu stajemy się wrażliwsi i zgryźliwsi na drobne nawet i powszednie troski. Nam najgwałtowniej potrzeba spokoju, świętego spokoju. I ja, Mamciu droga, starzeję się galopem. Więdnę i schnę na szczepę, zbywam się powidomu ciężaru w ciele, snać blisko mi już do odlotu. Czas w cieplice, czas! Święć się wolo Boża!

Kochajmy się, Mamciu, w Panu i niesmućmy. Zbliża się rocznica wielkiej straty mojej, to modlę się rzewniej i proszę mego wiernego druha o przyczynę za nami w Niebie.

Dopiero co, Mamciu, miałem wizytę poczciwego Litwina powstańca, który 20 lat przesiedział na Sybirze. Przyszedł z petycyą do Stowarzyszenia Podatkowego, z petycyą podpisaną przez Naczelników litewskich, aby ratować kilkudziesięciu spółziemian po więzieniach austryackich. Koroniarze z Wołynia dostali zapomogi od rodzin swoich i otrzymają paszporta do Francyi. Litwinów, jeśli nie okażą funduszów na drogę, odeszlą na pastwę Moskalom. Serce pęka. Stowarzyszenie, którego jestem Prezesem, niewiele zdoła uczynić dla nich. Gdyby tu był P. Ksawery Branicki, poszedłbym po jałmużnę. Wstyd Galicyanom! Ołomuniec tuż pod bokiem.

Przepraszam za ten ustęp, ale codzień pijemy z tego kielicha goryczy, że i o własnych biedach zapominamy.

Całuję ręce i t. d.

Bohdan.

Do Pana Bronisława Zaleskiego, w Paryżu.

Paryż, 25. stycznia 1865.

Mój drogi Bronisławie — miałem wczoraj wizytę poczciwego Litwina — powstańca — który 20 lat przesiedział na Sybirze. (którego niestety zapomniałem nazwisko). Przyszedł z petycyą do Stowarzyszenia Podatkowego, z petycyą podpisaną przez Wróblewskiego i przez wielu innych wojaków litewskich — aby ratować kilkudziesięciu spółziemian internowanych po fortecach austryackich. Koroniarze i Wołyńcy dostali zapomogi od rodzin swoich — i otrzymają paszporta do Francyi. Litwinów, jeśli nie okażą funduszów na drogę, odeszlą na pastwę Moskalom. Serce pęka. Stowarzyszenie Podatkowe, jak wiesz, nie bogate — a przytem i związane swemi ustawami. Potrzeba jednak uratować braci. Chodzi podobno o parę tysięcy franków. Należałoby w tej mierze zainteresować naszych panów — jak to: Czartoryskiego, Działyńskiego. Sapiehę, Branickich i t. p. a w najgorszym razie zawezwać całą emigracyę do składki. Ktoś w tej rzeczy musi wziąć inicyatywę — mnie się zdaje, że najwłaściwiej byłoby, aby to uczynili naczelnicy powstań znani i poważani, jako E. Różycki, Wróblewski. Świętorzecki i t. p. Powinniby zakołatać najpierwej do Panów i bogatszych emigrantów, a potem i do drobnej braci. Gotów jestem pójść z nimi do Branickiego, — pomimo tego, że niedawno dał mi odkosza za Stowarzyszenie. Wstyd Galicyanom, że sąsiadując z Morawami, dotychczas nie przyszli z pomocą Litwinom! Powiedz to księciu Sapieże. Pomyśl mój Bronisławie — co da się zrobić na prędce! Widujesz się z Świętorzeckim i Różyckim, to ostrzeż ich, że będą mieli tych Litwinów na sumieniu. Mnie oni bardzo na sercu.

Ściskam i pozdrawiam

Twój

B. Zaleski.

Do Hrabiego Oswalda Szymanowskiego, w Dreznie.

Paryż, d. 25. stycznia 1865 r.

Kochany Panie Oswaldzie! Wyszukaliśmy nareszcie po księgarniach paryskich żądane dzieła we dwóch tomach, które zaraz *sous bande* wyprawiamy pocztą do Drezna.

Przyjacielski oto stosunek pomiędzy nami. Panie Oswaldzie, odnawia się po leciech. Cieszymy się z tego niepomału, bośmy oboje dawni już i stateczni przyjaciele twoich rodziców. Szanowna Pani Matylda, to jakby należąca do rodziny; wszyscy ją znamy i kochamy. Radzibyśmy i Ciebie, jej syna, policzyć do swoich.

Widzę, Panie Oswaldzie, że po staremu zajmujesz się Dziejami Polskiemi, zapewne w zamiarze literackim, dla prostowania między Niemcami błędnych sądów o nas. Szczęść Boże! Dzieło francuskie, które posyłam, licha to bardzo i niesklejna zbieranina z ksiąg już postarzałych. Lepsze w tym rodzaju, a przynajmniej świeższe mamy książki polskie Szujskiego, Duchińskiego, Szmita i t. p.

Łączę i t. d.

J. B. Zaleski.

Do Pani Dyonizyi Poniatowskiej, w Hyères.

Paryż, 29. stycznia 1865 r.

Droga Dyźciu, Monumentów dopiero wyszedł tom 1-y. Zawiera najstarsze pomniki aż do Włodz. Monomacha. W adnotacyach do Nestora są waryanty z Kroniki Wołyńskiej, ale w całości zapewne będzie później. Bielowski zamierza przedrukować wszystko, co się dało odnaleść z czasów przed Długoszowych. W 1-ym tomie, okrom notat z Greków, Arabów, Skandynawów, Gal i Nestor stoją na świeczniku.

Bóg zapłać za pamięć Waszą o 29. stycznia i za modlitwy. Potrzebuję bardzo tego świętego obroku. Opadam ciągle na siłach cielesnych, to boję się, abym nie upadł i na duchu. Dotychczas trzymam się jako tako, w równej mierze.

Jeszcze raz Bóg Wam zapłać przy ucałowaniu rąk Waszych

Twój

Bohdan.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

Paryż, 17. lutego 1865 r.

Co ty, duszko Mamciu, myśliła sobie w sercu, że Bohdan tak długo i tak uporczywie milczy a milczy? Otóż oniemienia

tego nagłego była racya. W lutym przypadają różne moje pamiętne rocznice, dzień Gromniczny, urodziny i t. p. Z dawien dawna początek miesiaca aż do połowy, poświęcam zwykle modlitwom zadusznym i rozmyślaniu o tajemnicy ludzkiego życia na ziemi. Obcuję niejako jeno z duchami kochanych, co odlecieli mnie, pożegnani i niepożegnani. Tego roku na uczczenie pamięci naszego Józefa, umyśliłem przeżyć te dni na wzór jego lepiej, świecej. Zrzuciłem pychę z serca i wbrew pierzchliwości swojej ptasiej i wrodzonemu wstrętowi, puściłem się na wysokie pańskie progi w charakterze kwestarza na rzecz internowanej braci w Austryi. Przez wiele dni od domu do domu, do znajomych i do nieznajomych kołatałem śmiele z różnem powodzeniem, ale z jednakową zawsze pogodą i słodyczą na ustach. Może raz jeden lub dwa razy zmarszczyłem brwi i to na siebie samego, za niezgrabność lub dziwne roztargnienie. Przezwyciężyłem się oto, Mamciu, przez uczucie chrześciańskie w rzeczy najtrudniejszej dla mnie. Świętorzeckiemu i Różyckiemu wydaje się to bohaterstwem, bo żadną miarą nie mogli się zdobyć na odwagę towarzyszenia mi po salonach, chociaż stokroć pokaźniejsi niż ja i światowcy.

Chwała niech będzie Panu na Niebiesiech! Uzbierało się kilka tysięcy na biedaków. Za pieniądze, które Mamcia przysłała, da Bóg wyzwolę wkrótce kilku ważnych więźniów w Królewcu, między innymi Akielewicza, którego zna dobrze P. Franciszek. Sumka Hierska już jest w ich ręku. Z pieniędzmi wykwestowanymi, tudzież z wyzyskanymi na B..... co tu ma u siebie brylanty Pań Podolskich, wyprawiamy umyślnego do Ołomuńca i do Königsgratzu, który doręczać będzie każdemu sumkę na wyjazd.

Żeby kwestarzowi godziło się zbierać wzorki salonowe, miałaby Mamcia zabawną relacyę z mojej świeżej peregrynacyi. Zauważałem dużo na panach i paniach naszych. Wogólności, im ktoś bogatszy, tem skąpszy, na dziesięciu jeden hojniejszy. Ale zdarzy się i podniosłe serce. Jedna n. p. osóbka, którą przed ośmnastą laty mimochodem zajrzałem w Rzymie, przyjęła mnie jak najserdeczniej i ze spółczuciem dla braci. Skarząc się, że nie może dać wiele dla ciężkich czasów, wsunęła mi jednak do ręki bilet 1000-frankowy. Oprócz Ksawerego Branickiego, żaden prawie z magnatów nie zdobył się ani na dziesiątą część takiego datku. Rozczulił mnie ten postępek i postaram się zań kiedyś odwdzięczyć po chrześciańsku. *A propos* magnatów, poznałem się z jednym nowym. Ex-ulan z 4-ego pułku i stary emigrant ożenił się niedawno z Angielką, hrabiną Aberden.

Zresztą, Mamciu, niema u nas żadnych ciekawości osobliwych. Zosia po staremu po uszy w pracy, dzieci się uczą, ja zabieram się do mego urzędu egzaminatora w szkole Polskiej, i to na dziesiątek dni. . . . .

Mają przybyć do nas na emigracyę Kulisz, Kostomarow i Biełozierski, których Moskwa prześladuje za Ukraińszczyznę. Zbiegli jednocześnie z różnych miast, kędy byli internowani. Oczywiście przyjmę ich po bratersku sercem ukraińskiem, aby się nawrócili przez miłość do prawdy bożej i narodowej. Opatrzna w tem ręka, przyjdą po naukę na Zachód kijowscy profesorowie, po naukę do Kijowianina Duchińskiego. Ukaże się tedy pomiędzy nami i Emigracya Małorossów.

Wybiera się do Hyères Jenerał Kruk (Heidenreich). Biedny suchotnik, na rozkaz lekarzów musi opuścić zajęcia przy drodze żelaznej, kędy zarabiał kilkadziesiąt franków na miesiąc. Świętorzecki miał być wczoraj u ks. Piotra z prośbą, aby ks. Józef wziął opiekę nad chorym tyle zasłużonym. Wczoraj pogrzebaliśmy suchotnika Jundziłła, dowódzcę powstania w Słonińskiem.

Otóż, droga Mamciu, niechcący znalazła się i nowinka, mało interesująca wprawdzie, ale nowinka. Przepraszam, bo co nam starym po niej? Nam potrzeba wieści z Nieba, które daje tylko święty pokój w Panu i modlitwa z głębi serca skruszonego. Radbym taką wieścią chuchnąć na Mamcię moją, którą kocham bardzo, jak własną.

Bohdan.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

Paryż, 21. marca 186.

Kochana Mamcio, ...z nowinek niepodobno nic upolować na wielkim świecie, bo zamrożony spoczywa snem śmierci aż do lepszych czasów, to jest do powrotu jaskółek. Dziś mamy 8 stopni zimna. Na święty Józef był srogi wiatr, wszyscy, starzy i młodzi przemarzliśmy na cmentarzu, a połowa z domowych i dziś jeszcze zakatarzona. Mamcio duszko, ciemno wszędzie, głucho wszędzie, co to będzie, co to będzie?...

Poczciwy Roman Postempski, malarz w Rzymie, miał na składzie u ś. p. Józefa do stu egzemplarzy portretu Mickiewicza. Otóż na zapytanie moje, co z nimi zrobić, darował je na rzecz

Stowarzyszenia Podatkowego, którego jestem Prezesem. Podarek nielada, kilkusetfrankowy. Stowarzyszeniem naszem zainteresował się kraj, a głównie Wielkopolska. Pani Laura Czapska, która Daryuszostwo poznali ongi w Boulogne, podpisała mi cyrograf na 600 franków rocznie. Stowarzyszenie Podatkowe góruje ponad Instytucyami emigracyjnemi. Daje w imieniu Ojczyzny cześć i chleb starcom, wdowom i sierotom polskim. Karolowi Różyckiemu płacimy pensyę. Edmund Różycki i Świętorzecki po dziś dzień zrozumieć nie mogą rzeczy. Jak zrozumieją, emigracya stara i młoda zleją się w jedno ciało, bo mają za sobą legion. Ważniejsza to robota niż wszystkie Bossaka w imię niby Rządu Narodowego. Żal się Boże człowieka! Bronisław nie może z nim przyjść do ładu.

Na jubileusz ks. Jełowickiego zeszło się dużo rodakow, starych i młodych, ale czy wytrwają aż do końca? W tem tkwi sęk. Kazania miewają ks. Jaździewski i O. Fidelis. Dotychczas słuchają chętnie. . . . .

Siedzę sam na rumowisku przeszłości, takiej świetnej i obiecującej. Zamyślam o druku nowych poezyi, ale niewiem jeszcze gdzie i kiedy. Zresztą rząd Pruski bodaj nie wlezie mi w drogę. Wątpię, abym u niego znalazł łaskę.

Ksawery Branicki z Hołyńskim dali na internowanych w Austryi 15.000 franków.

Całuję ręce i t. d.

Bohdan.

Do Pana Leonarda Chodźki, w Paryżu.

Paryż, 25. marca 1865 r.

Szanowny Panie Leonardzie, polecam Ci kolegę mego pułkowego, P. Skolimowskiego. Chce wejść do Zakładu sióstr świętego Kazimierza. Ma szczupły zasiłek od rządu i 120 fr. z hotelu Lambert. Chodzi jeszcze o 120 fr. do uzupełnienia pensyi u siostr. Czyby Komitet franko-polski nie mógł mu zapewnić tej sumki, choć na jeden raz? Stowarzyszenie Podatkowe ma długą listę kandydatów starszych wiekiem od Pana Skolimowskiego, a więc nic uczynić dlań nie jest wstanie.

Jeszcze raz, panie Leonardzie, polecam gorąco Twej opiece P. Skolimowskiego.

Życzliwy rodak i kolega

J. B. Zaleski.

Do Pana Bronisława Zaleskiego, w Paryżu.

Paryż, 27. marca 1865.

Drogi mój Bronisławie, starzy i młodzi dziękujemy ci najserdeczniej za śliczny wizerunek ś. męczeńskiej pamięci Zygmunta[1]), któregoś całym domem ongi kochali. Wierzaj, że upominek ten tem szacowniejszy, że pochodzi z Ciebie i od Ciebie.

Artykuł ks. Pereyra przeczytaliśmy. Dużo poczciwego uczucia, ale dużo i francuskiej amplyfikacyi.

...Minęło i Zwiastowanie Panny Maryi a jaskółek coś nie widno. Dziwny ten rok Pański 1865! Na Ukrainie, syberyjskie zimno do 30 stopni. Morze Czarne przy Odessie stoi lodem. Dopóki mroźno i wietrzno na dworze, nie wyrywaj się, mój Bronisławie, z domu, chociaż nam już bardzo tęskno do Ciebie.

Pozdrawiam i t. p.

Bohdan.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

Paryż, 2. kwietnia 1865 r.

Mamciu droga, otóż na dobitkę pod koniec zimy i ja nabawiłem się gryppy. Chorobać niewielka, lecz dokuczliwa. Kaszel, dreszcze, ociężałość w ciele, oddziaływają i na umysł. Ma się ku wiośnie, to i to minie!

Spółczuję całem sercem niepokoje z powodu kończącego się pasportu. Położenie Twoje, Mamciu, arcytrudne, całkiem wyjątkowe. Wiek podeszły, opłakany stan zdrowia męża, obiedwie córki za granicą, obuch carski, odwyknienie od gospodarstwa, które zresztą dziś tak różne od dawniejszego i t. p., słusznie odstrę-

---

[1]) Sierakowskiego.

czają od powrotu. Z tem wszystkiem, jeśli nie może być inaczej, niech się święci Wola Boża! W spełnianiu tej Woli Świętej otucha, rada i siła w różnych kolejach naziemskiego żywota. Pan sam natchnie Ci myśli, słowa i uczynki w każdym dniu i godzinie.

W ogólności atoli, Mamciu, napędzam wszystkich krajowców, a mianowicie młodych do powrotu. Tutaj żyją ladajako, gorszą się, dłużą, a tam rząd i oficyaliści grabią i łupieżą po domach. Ruina nieochybnie grozi i tem smutniejsza, że poniekąd zasłużona, bo na dnie jej stary grzech. Szlachta dobrowolnie wywłaszcza się, wynaradawia, ucieka z placu, a Polska leci w toń coraz to głębiej. Kongresowczyków osobliwie napadła dziś mania wyprzedaży ziemi. Mnóstwo obywateli szuka kupców na wioski, aby wynieść się za granicę. Prawda, że bogatsi dali pierwsi to zgorszenie. Państwo A..... nieskompromitowani politycznie, ale zadraśnięci czemś w rodowitej pysze, wystawili na sprzedaż kolosalne dobra.

Z upadkiem szlachty i wiara św. idzie w poniewierkę. Duchowieństwo katolickie wedle Krzywickiego w opłakanym stanie. Lud obałamucony ciągle jeszcze niedowierza księżom i tem samem dziczeje. Na czem się to wszystko skończy, Mamciu? Ludzkość cała chora wszędzie, a cudu śmy Bożego bodaj niegodni. Czasem omdlewa mi serce nawet na modlitwie, aż anioł stróż je orzeźwi otuchą swoją duchową.

Chwałaż Bogu, że Dyzia lepiej na zdrowiu. Wiosna tuż, tuż za pasem, to i Daryusz oswobodzi się od gryppy razem ze mną.

Ręce Twoje i t. d.

Józef Bohdan.

Do księdza Ludwika Jażdżewskiego, w Londynie.

Paryż, 17. maja 1865 r.

Szanowny i kochany księże Ludwiku! *Stante pede* odpisuję, bo wiem, żeś w tarapatach z nowymi przybyszami, jakich Ci Pan Bóg nasłał. Zaraz po przeczytaniu Twego listu, udałem się do P. Świętorzeckiego, członka Rady i kasyera stowarzyszenia Wzajemnej Pomocy, na ręce którego złożyłem ongi resztę funduszu z kwesty na internowanych austryackich. Stanęło między nami na tem, że jutro, pojutrze wyjedzie k t o ś z Paryża do Londynu z małym fundusikiem, co zajmie się losem naszych biedaków.

Świętorzeckiemu i spółce powiodło się najwyborniej we Francyi: kilkuset ex-internowanych zdołali wyżywić przez jakiś czas i potem pomieścić przy fabrykach, warsztatach i t. p.. prawda. że przy opiece Prefektów i za pomocą Komitetów, które pozawiązywali wszędzie po miastach i miasteczkach. Zgorszyliśmy się nieco, że rodacy w Londynie, nie utworzyli dotąd komitetów, które by miały pieczę i staranie o tułaczach polskich. Mniejszać wprawdzie sympatya Anglii, ale i mniej tam emigrantów naszych. Napisz. kochany księże Ludwiku, do ks. Czartoryskiego i P. Zamojskiego, aby wam w tej rzeczy dopomagali, to jest. aby zaagitowali bogatszych Anglików. Ja z mej strony poszlę do nich księdza Jełowickiego.

Od kilku dni przybył do nas ks. Kajsiewicz, każe w Assomption wieczorem z wielkiem, zdaje się, zbudowaniem pobożniejszych. Obaczycie się zapewnie. bo przez Anglię chce jechać do Ameryki.

Cieszę się w sercu, że wracasz do Polski, bo tam Twoja rola i cała dola. Wielkopolska po drodze ku Ukrainie, to kiedyś do wioski Twojej, lub na probostwo, zajadę całym dworem po staropolsku, aby Ci się tam przypomniały dzisiejsze Twoje kłopoty Londyńskie.

Ściskam jak najserdeczniej i modlitwom się Twoim polecam

brat i sługa

J. B. Zaleski.

Do P. Bronisława Zaleskiego, w Paryżu.

Paryż, 20. maja 1865.

Kochany Bronisławie, onegdaj posłałem do Ciebie sąsiada Twego z Litwy Domańskiego. Czy Cię znalazł w domu? Dałem mu adres i wujaszka Konstantego. Dziwnym sposobem zdołał odszukać Mme Sophie — chociaż niewiedział o naszem nazwisku.

Może jutro zabiegniesz do nas wieczorem lub w dzień, ale przed 3-cią, bo mam sesye w szkole. Pomówimy o nakamiennym napisie dla Edwarda [1]). Wieczór ma przyjść do nas Bolesław [2])

---

[1]) Żeligowski.

[2]) Świętorzecki.

z Różyckim i Wróblewskim. Byłem przez parę dni w niemałych opałach, Ks. Jaźdżewski przysłał mi z Londynu 50 internowanych Ołomunieckich, którym Rząd francuski nie pozwolił zostać w Paryżu — i wczoraj wyprawił do Belfort nad granicą Szwajcarską. Miałem i nowy list od Miłkowskiego — dość ciekawy pod względem literackim. A czy będziesz w Montmorency pojutrze? Możebyśmy mogli razem podróżować.

Ściskam serdecznie

Bohdan.

Do Pana Władysława Mickiewicza [1]), w Paryżu.

Paryż, 26. czerwca 1865.

Kochany Panie Władysławie! W tej chwili p. Andrzej Plichta był u mnie z urzędowym listem Ministra Oświecenia, w którym zawiadamia księcia Władysława Czartoryskiego, że bierze 10 egzemplarzy *Albumu* Bronisława. Może by wypadało mu je posłać do Ministeryum? Onegdaj miałem list od Bronisława z Drezna. Małżeństwo Kruniewicza spóźniło się o parę dni. Po ślubie młoda para wyjedzie do Schwalbach, kędy za nią pociągnie i Bronisław.

Pozdrowienie od nas całemu domowi Waszemu, a razem życzenia imienin kochanemu P. Władysławowi jak najserdeczniejsze.

B. Zaleski.

Do Pani Konstancyi Rzewuskiej, w Hyères.

Paryż, 29. czerwca 1865.

Kochana moja Kostusiu, ...dziękuję za nowiny z kraju o kochanych. Niestety, zawsze smutne! Na całą Polskę spadło bezdole. Ale jest Bóg na Niebie i modlą się doń święci patronowie nasi, to i to minie. Przeżyć nam te ciężkie czasy będzie jednak trudno, osobliwie starcom, jak np. ja. Święć się Wolo Pańska! Odbieram wciąż straszne listy z Litwy, których już nie czytam,

---

[1]) Ze Zbiorów P. Aleksandra Jelskiego w Zamościu.

ale żegnam krzyżem... Odłączeni od Narodu i od rodzin, jesteśmy jako trędowaci, jako skazani na samotną śmierć.

Bieda u nas wielka na emigracyi, ale tem większa i rezygnacya. „Bóg da jakoś wyżyć i wychować synów dla Polski“, powtarzamy Ojcowie rodzin. . . . .

Polecam się Waszym sercom i modlitwom

Bohdan.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BARSS
PALESTRANT WARSZAWSKI

I

JEGO MISSYA POLITYCZNA WE FRANCYI
(1793—1800).

ZE ŹRÓDEŁ ARCHIWALNYCH

PRZEZ

ALEKSANDRA KRAUSHARA.

WŁADYSŁAWOWI SMOLEŃSKIEMU,
HISTORYKOWI,
W PRZYJAZNYM UPOMINKU POŚWIĘCA
AUTOR.

O mężach wybitniejszych w dziejach krajowych ze schyłku wieku XVIII., o takich zwłaszcza, którzy orężem, lub piórem, społeczeństwu swemu służyli, posiadamy wiadomości dosyć wyczerpujące w świadectwach i pamiętnikach współczesnych, niejednokrotnie przerastające miarę rzeczywistych tychże osobistości zasług. Mniej pod tym względem szczęśliwi są uczestnicy przełomowej epoki upadku Rzplitej.

Tam, gdzie wszyscy, co myśleli i czuli, wiedzeni poczuciem obowiązku obywatelskiego, biegli na ratunek walącej się od podstaw aż do szczytu budowy, gdzie w powszechnym zamęcie nie było czasu i miejsca dla spokojnych i rozważnych widzów, którzyby w charakterze historyografów lub biografów notowali skrzętnie czyny ludzi, biorących udział czynny w wypadkach współczesnych, tam, niejedna ofiarna jednostka, dla której w Panteonie znakomitości krajowych wydatniejsze należałoby zachować siedlisko, przemijała bez śladu, jak zwykły szeregowiec w armii bojowej, o którego męztwie i zgonie w stoczonej bitwie, ani współcześni, ani potomni nie wspominają...

Niefortunna dola takiego właśnie szeregowca stała się poniekąd udziałem pamięci męża, któremu kartki niniejsze są poświęcone.

Wielkie zasługi i ofiarności patryotyczne Franciszka Barssa, współpracownika sejmu wielkiego, przedstawiciela i obrońcy praw mieszczaństwa polskiego, polityka statysty i męża czynu, przyjaciela i towarzysza wygnania Kościuszki, do dziś dnia oczekują należnego uznania. Wszystko, cokolwiek dotąd wiedziano o roli, jaką ów jedyny, urzędowy, przedstawiciel interesów Polski powstającej, w obec konwentu, Dyrektoryatu i konsulatu pełnił w epoce wielkiej rewolucyi francuzkiej, redukuje się do pobieżnych wzmianek o Barssie, tu i owdzie w pamiętnikach z końca wieku XVII. napotykanych. Materyał źródłowy natomiast, obejmujący zarys działalności Barssa wśród przełomowych wypadków ówczesnych, jego udział w sprawach pierwszej emigracyi polskiejześrodkowanej po Targowickiej konfederacyi, w Lipsku, jego działalność we Francyi, przed wybuchem i podczas powstania Kościuszkowskiego, jego współinicyatywa w powołaniu do życia legionów polskich, jego stosunki z konwentem, z Robespierem, Dantonem, Barrérem, z ministrami wojny i spraw zagranicznych we Francyi: Dumouriezem, Lebrunem, Boernonvillem, Desforguèm, z agentami politycznymi: Descorchem, Bonneau, Larochem i Parandierem; z bojownikami oręża i pióra: Kościuszką, Dąbrowskim, Kniaziewiczem, Wybickim, Wielhorskim, Kołłątajem, Stanisławem Małachowskim, Prozorem, Ignacym Potockim i wieloma innymi przodownikami ruchu narodowego w epoce porozbiorowej, wszystkie owe informacye, z nielicznemi jedynie wyjątkami we fragmentarycznych urywkach drukowanemi w *Kwartalniku historycznym* (Tom XII. str. 304 i nast. str. 818 i nast.) spoczywały nietknięte w aktach archiwalnych ministeryum spraw zagranicznych w Paryżu, w Archiwum narodowem francuzkiem i w papierach Muzeum Rapperswyllskiego. Działalność przedemigracyjna Barssa w kraju, jakkolwiek znalazła niejakie uwzględnienie w dziełach: Kalinki *(Sejm Czteroletni* T. I. str. 503 wyd. I.), Korzona (*Dzieje wewn.* T. I. str. 20, odsyłacz) w artykułach encyklopedycznych Cez. Biernackiego *(Enc. Orgelbr. większa* T. II. str. 927), Wł. Smoleńskiego (Enc. illustr. II. 1010, 1011 i w notatce biograficznej uzupełnionej w *Upominku dla Orzeszkowej* str. 523—525); lecz nie wzmiankują o niej, ani Święcki, ani Bartoszewicz w regestrze znakomitości krajowych *(Pamiątki histor.)*, ani też Kraszewski, w *„Polsce, w czasie trzech rozbiorów“*...

To, co pierwsi wymienieni pisarze i inni badacze dziejów porozbiorowych o żywocie Barssa podają, da się z łatwością w niewielu streścić wyrazach.

Męża politycznego, który życie swoje całe oddał wyłącznie idei służenia krajowi, który ostatnie tego życia lata spędził na wygnaniu, w niedostatku, zaliczono do sfery, która obrotami finansowemi z pieniędzy robi pieniądz i zamianowano — b a n k i e r e m...

Jeżeli zgryźliwy wróg polskości, cudzoziemiec, Mehée de la Touche (1795) autor znanego pamfletu przeciw Polsce porozbiorowej skierowanego, pisząc do Barréra wyraża się o Barssie w słowach: *„il dit, qu' il aime, la liberté et ne dit pas, qu' il aime l' argent... Cet article est pourtant plus vrai, que le premier...* (Arch. zagr. franc. T. 323 str. 73 *Pologne)* dziwić się temu, z uwagi na charakter pamfleeisty, nie należy...

Jeżeli inni biografowie cudzoziemcy Barssa życzliwem dlań owiani uczuciem jak np. autor artykuliku w *Encyklopedyi Larousse'a* (T. II. str. 272) zamieszczonego, mianują go h r a b i ą i zaliczają do t o w a r z y s z ó w b r o n i Kościuszki podczas kampanii 1794 roku (w trakcie, której Barss już we Francyi się znajdował) i przesiedlają go po upadku powstania do Szwajcaryi, gdzie jakoby do roku 1814 w otoczeniu Kościuszki miał pędzić ostatnie lata ż y c i a (żona Barssa już w początkach XIX. wieku, jako w d o w a zamieszkiwała w Warszawie), to tego rodzaju błędnym informacyom cudzoziemców również dziwić się nie należy.

Lecz jeżeli pisarze krajowi: Kalinka, Biernacki, Pilat *(Liter. polit. sejmu czterol. str. 161)* Siemieński *Listy Kołłątaja* T. I. 115), Estrejcher *(Bibliogr.* T. XII. str. 380) Barssa b a n k i e r e m mianują; jeśli Henryk Szmitt (*Dzieje porozb.* str. 16) nazywa go a g e n t e m d y p l o m a t y c z n y m k r ó l a i R z p l i t e j; Morawski Teodor *(Dzieje* T. V. str. 250) s e k r e t a r z e m k r ó l e w s k i m, inni zaś t a j n y m a g e n t e m we Francyi, to tego rodzaju niedokładności, w najlepszej popełnione wierze, przypisać jedynie można brakowi należytych informacyj o charakterze męża, którego Korzon, bardzo słusznie do *„znakomitości epoki"* zalicza.

Nie ujmowałoby to bynajmniej moralnej wartości Barssa, gdyby w rzeczy samej kiedykolwiek interesami bankierskiemi był się trudnił. Wiadomo, że pozytywista Charles Comte u wierzchołka trójkąta organizmu społecznego przez siebie wykoncypowanego sadowił — bankierów, jako, zdaniem jego, ludzi najmędrszych, najlepiej i najtrafniej orientujących się w splocie stosunków po-

tocznego i publicznego życia. W duchu takiej teoryi, jeśli Barss nigdy bankierem nie był, to przynajmniej według teoryi Comte'a być nim miał najzupełniejsze prawo. Jako jeden z dzielniejszych prawoznawców i ekonomistów swej epoki, jako umysł rozległy, nietylko pięknemi naukami, językoznawstwem i erudycyą niepospolitą w dziedzinie nauk politycznych zasobnie zaopatrzony, należał Barss do wyjątkowo uzdolnionych osobistości, które, w normalnym rozwoju bytu politycznego Polski, mogłyby zaszczytnie tekę ministeryów spraw, bądź wewnętrznych, bądź zewnętrznych, piastować.

Katastrofa podziałowa wytrąciwszy bardzo wielu ludzi z orbity normalnego życia uczyniła z nich bądź agitatorów zamaskowanych, lub też błędnych rycerzy, którzy, w imię ideału wskrzeszenia Polski, biegli walczyć z Francuzami przeciw Włochom, Hollendrom, Hiszpanom lub Anglikom, lub też pod przybranemi nazwiskami, budzili współczucie dla losów Polski w pismach peryodycznych francuzkich.

Barss nigdy maski nie nosił, tajnych misyj nigdy nie pełnił, słabszych narodów do współki z mocniejszymi nie podbijał, lecz zawsze, pod własnem imieniem i nazwiskiem, występował publicznie; w kraju — jako jeden z prowodyrów i bojowników sprawy mieszczaństwa polskiego; za granicą — jako jawny przedstawiciel Kościuszki i jako jawny delegat Rady najwyższej narodowej warszawskiej.

Tem dziwniejszą przedstawia się pomroka tajemnicy, jaka pierwsze i ostatnie lata żywota Barssa, wśród jasnego światła spraw publicznych i wśród łuny pożaru wszecheuropejskiego spędzonego, okrywa.

Kiedy się Barss urodził i kiedy umarł? o tem do tej chwili dat autentycznych nie posiadamy. To tylko pewna, że „Lubelczykiem", jakim go zwie Antoni Rolle (*„Niedoszłe legiony"* w Seryi II. *Opowiadań* str. 294) nie był, i że w roku 1768, jak przypuszczają niektórzy, z listy mobilizowanych na sejmie przez Repnina wykreślonym być nie mógł...

· Barss był dzieckiem Warszawy *civis Varsaviensis,* z dziada i pradziada, rodził się w Warszawie z rodziny mieszczańskiej w kamieniczce na krakowskiem Przedmieściu pod Nr. 381 ongi sytuowanej, dopiero po wypadkach Lutowych i roku 1861 r. zrównanej z ziemią.

Dzieje owego skromnego domostwa, podają nam klucz do odcyfrowania i pochodzenia samej rodziny Barssów i jej nazwiska,

na pozór cale nie polskiego. One też usuwają stanowczo wszelkie domysły dotychczasowych biografów Franciszka Barssa, którego jedynie z faktu jego nobilitacyi w roku 1791 na sejmie warszawskim, wyprowadzają wniosek, że prawdopodobnie „musiał być mieszczaninem“.

W taryfach domów miasta Warszawy z czasów Stanisława Augusta, nazwisko Barssa jako possessyonata miejskiego nigdzie nie napotykamy. Natomiast figuruje w nich *„en toutes lettres“* nazwisko... Barszcz, — przypomnienie owej w Polsce ulubionej zupy, która Niemcom i Francuzom nietylko przez gardło, lecz i przez usta przecisnąć się nie może.

Domek Nr. 381 w Warszawie jeszcze w taryfie z roku 1784 figuruje pod nazwą JMci Pana Barszcza...

Z akt do starej księgi hypotecznej tejże possessyi dołączonych dowiadujemy się, iż JMć. Pan Paweł, ojciec naszego Franciszka, testamentem z dnia 30. marca 1796 zapisał był wnuczkom swoim. Franciszce i Juliannie dzieciom jedynego syna Franciszka 24 tysięcy złotych. Już wówczas nieistniało mieszczańskie nazwisko — Barszcz. a natomiast występuje inne, z cudzoziemska brzmiące, nazwisko Bars o jednej literze końcowej *s*, której dopiero później, na emigracyi, Pan Franciszek dodał do towarzystwa drugą zgłoskę *s* i odtąd stale w raportach urzędowych i listach podpisywał się jako Franciszek Barss.

Do roku 1775 t. j. do czasu ogłoszenia przekładu francuzkiego: *„Mowy za czterema stanami: kupieckim, rolniczym, żołnierskim i ludzi uczonych“* o udziale Barssa w sprawach publicznych nigdzie nie spotykamy wzmianki. To także pewna, że w roku 1768 nobilitacyą zaszczyconym być nie mógł, gdyż w pracach delegacyi sejmowej ówczesnej pod przewodem księcia Repnina prowadzonych żadnego udziału nie miał. Jako młody jeszcze palestrant warszawski bawił się w chwilach wolnych literaturą, tłómacząc z francuzkiego zdanie „o pojedynkach“ i tragedyę „Bewerley, czyli gracz angielski (1777). Przypisują mu udział czynny w procesie Ponińskiego. Przypuszczenie dosyć zasadne; jakkolwiek bowiem cały ciężar oskarzenia wziął na siebie Wojciech Turski, nigdzie w olbrzymim materyale procesowym, który mam pod ręką, a który dla historyi owych czasów pierwszorzędnej jest wagi i domaga się oddzielnego opracowania i wydania, z nazwiskiem Barssa nie spotkałem się to jednak dla tych, którzy mieli sposobność zapoznać się bliżej z osobistością i z cha-

rakterem moralnym Turskiego, nie może być nieprawdopodobnem. iż erudycya prawnicza późniejszego Alberta Sarmaty, osobistości dziwacznej, nieszczerej i pozującej na jakobina, dla zbudowania tak gruntownego i ścisłego aktu oskarżenia przeciw Adamowi Ponińskiemu bynajmniej nie wystarczała... O ile Turski był tem, co, mówiąc językiem nowoczesnym, mianem blagiera politycznego zwykliśmy nazywać, o tyle, Barss, w każdem słowie i w każdym czynie, ujawniał naturę i charakter człowieka szczerego, poważnego, całą duszą sprawom publicznym oddanego, męża, który według trafnej opinii Chodźki, był patryotą *„qui cachait sous des dehors froids et défiaus, une ame vraimant republicaine“ (Hist. des legions* I. 100). Taki mąż stanu w istotnem tej godności znaczeniu, mógł chętnie złożyć w ofierze chełpliwość autorską dla sprawy ogólnej i wyrzec się jej na rzecz delatora, który z tej ofiary, tym razem wyjątkowo, dobry zrobił użytek.

Nie mam zamiaru powtarzać tutaj tego, co już poprzednicy moi o działalności Barssa w epoce wielkiego sejmu do wiadomości ogółu podali.

Znajdzie czytelnik o tej działalności dostateczne informacye w powołanej wyżej notatce biograficznej Smoleńskiego, ogłoszonej w roku 1893 w *Upominku dla Orzeszkowej* i z nich wytworzy sobie pojęcie dokładne o pięknej roli, jaką Barss pełnił w epoce podniesienia sprawy emancypacyi mieszczaństwa polskiego, w epizodzie malowniczym, gdy deputacya miast, z Dekertem na czele, w czarnych szatach, ze szpadkami u boku, naśladując wzory paryzkie, podniosła głos, domagając się uwzględnienia swych praw. Znajdą się w owych notatkach fakta odnoszące się do sprawy nobilitacyi Barssa, do sporu jego z Jackiem Jezierskiem, do prac około reformy sądownictwa miejskiego.

Koleje żywota Barssa rozpoczynamy od chwili, gdy po zniweczeniu prac wielkiego sejmu przez Targowicę, wszyscy zasłużeni pracownicy w sprawie odrodzenia narodu, zmuszeni zostali siłą konieczności do opuszczenia kraju i rozbicia swoich namiotów tułaczych w Wiedniu i w Lipsku, gdzie właśnie w końcu 1792 roku zaczął się tworzyć pierwszy zawiązek robót emigracyjnych około wywołania w kraju ruchu powstańczego,

I.

Wyjazd Barssa z Warszawy w r. 1792. — Spotkanie z Kołłątajem w Krakowie. — Pobyt we Wiedniu. — Zniechęcenie. — Rady Kołłątaja. — Wieści z Warszawy. — Barss w Dreznie. — Powraca w listopadzie 1793 r. do Warszawy. — List od Kołłątaja. — Wypadki we Francyi. — Ponowny wyjazd Barssa do Drezna. — Rezygnacya majątku na rzecz rodziny.

Zniechęcony widokiem tryumfującej reakcyi w kraju, pospołu z innymi patryotami opuścił w Lipcu 1792 r, Barss Warszawę, pozostawiwszy w niej żonę, (córkę wice-prezydenta Rafałowicza) i dwie nieletnie córki: Franciszkę i Juliannę i podążył do Lipska przez Kraków, gdzie spotkał się z Kołłątajem, z którym podczas prac wielkiego sejmu, ścisłe przyjaźni i wspólnych celów utrzymywał stosunki [1]). Z Lipska przeniósł się Barss do Wiednia, stale zdecydowany nie powracać więcej do kraju, gdzie, jak mniemał, „życie niemożliwem się stało“. O jego stanie moralnego zniechęcenia, o materyalnym niedostatku i o walce wewnętrznej jaką z sobą w owej chwili staczał, nie mogąc się zdobyć na postanowienie wyrzeczenia się raz na zawsze ojczyzny, dowiadujemy się z listu Kołłątaja pisanego doń z Lipska dnia 6. Października 1792 [2]) „Czegobym komu innemu pisać nie mógł — odzywa się Kołłątaj do Barssa — to śmiało WPanu wyrażam, który codziennie na mnie spoglądałeś, który widziałeś prace moje i znałeś dobrze, że w całem urzędowaniu innej nie miałem pociechy, tylko być przystępnym i pożytecznym dla tych, co mojej usługi potrzebowali“.

Odradził Kołłątaj stanowczo Barssowi zamiaru wyemigrowania z kraju. „Jesteś ojcem rodziny — pisze doń — miernego majątku, trzeba żebyś się dobrze porachował z możnością cierpienia.,. Piękna jest rzecz uczynić z siebie heroiczną ofiarę w podobnych zdarzeniach, ale ta powinna być dziełem człowieka woli, nie wymowy i perwazyi. Jeżeli możesz cierpieć, jeżeli masz dość serca wystawić na podobny los żonę i dzieci, oto jest pora, lecz dobrze się porachuj, czyli wola twoja pogodzi się z wolą nieszczęśliwej żony i losem dzieci“.

---

[1]) Listy Kołłątaja (wyd. Siemieńskiego) T. I. str. 2.
[2]) Ibid, str. 48.

...Pytasz mi się WPan czyli w Polsce żyć będzie można? Takowe zapytanie przeraża najdotkliwszem czuciem serce do swej ojczyzny przywiązane...

...Wszędzie i zawsze jest kilka ofiar przeznaczonych od Opatrzności dla przykładu następnym pokoleniom, lecz biada temu narodowi, któregoby wszyscy opuścili poczciwi. Są albowiem czasy upadku i powstania, sama tylko Opatrzność wie, któremu narodowi kres ostateczny przeznaczyła...

...Można się usunąć na czas niejaki od zemsty i zawziętości ludzkiej. Trzeba nawet, aby poczciwy człowiek nie wystawiał się na niebezpieczeństwo skażenia swego charakteru, lecz cóż mu Ojczyzna winna, aby ją na zawsze opuszczał? Kilku złych mogło ją przyprawić o nieszczęście, ale trzy miliony nowych ofiar ratunku potrzebujących, ale ta ziemia krwią i potem cnotliwych skrapiana, te groby ojców, które nam być powinny przykładem dla cnót obywatelskich, mogąż być bez czucia, bez żalu opuszczone? Jeżeli przykłady obrońców wolności być powinny dla nas silnem zachęceniem do naśladowania cnót obywatelskich, wystawmy sobie za wzór Arystyda, wygnanego z swej ojczyzny przez wyrok całego ludu dla skrytych Temistoklesa zabiegów, przez które potrafił nawet zmierzić Ateńczykom nieprzełamaną cnotę tego wielkiego u Greków męża.

...Takie sobie przepisawszy prawidła, jakąż WPanu radę dać mogę? Znając twoje talenta, wnoszę sobie, że możebyś znalazł dla siebie miejsce w Wiedniu lub Galicyi. Zaspokoiż to twoje serce? Usuniesz się zapewne od widoków zmartwienia, ale ci pozostanie smutek, póki tylko wiedzieć będziesz o nieszczęściu Twojej ojczyzny. Tyle prac podjętych dla dobra ludu miejskiego, który szczęścia swego nie znał, tyle trudów około związku wyższych i niższych instancyj sądowych z Trybunałem Assessoryi, oderwanie się od krewnych i przyjaciół, czem nagrodzić potrafisz? Niestety! Trudno jest być szczęśliwym poczciwemu człowiekowi w tym razie, kiedy cała społeczność jego jest nieszczęśliwą i czyli opuścisz Polskę czyli się do niej wrócisz, zawsze Cię jeden los czeka. Lecz jeżeli zdecydujesz się nie wrócić do kraju, przybędzie Ci nowa zgryzota, żeś swą opuścił Ojczyznę, dla której dobra tyle pracowałeś".

Odpowiedzi Kołłątaja 16. listopada 1792 r. na listy Barssa z Wiednia w dniach 17. i 20. października datowane świadczą, że jakkolwiek Barss bawił jeszcze za krajem, jednak już podówczas powziął stałe postanowienie powrócić do Warszawy.

„Gdybyś mógł wstrzymać jeszcze pośpiech Twego do Polski powrotu — pisze doń Kołłątaj 24. Listopada 1792 r. — powróciłbyś przyjemniej. Gdybyś powracając do Polski mógł obrócić Twą podróż na Lipsk, widziałbyś rzeczy jaśniej. Gdybyś widział rzeczy jaśniej, mógłbyś się pożyteczniej w Polsce znajdować, bo tego pisać nie podobna, co mówić można... Cieszę się jednak, że niestraciłeś serca do Twej ojczyzny“ [1])...

Pozostał prawdopodobnie Barss jeszcze czas niejaki we Wiedniu, jak świadczy list Kołłątaja z dnia 3. grudnia, gdyż z Warszawy nadeszły pewne wskazówki, które go do tej zwłoki w powrocie do kraju skłoniły (str. 138), lecz już z listu wcześniejszego Kołłątaja z d. 30. listopada 1793 jest dowód, że Barss wyjechawszy do Drezna nie zatrzymał się tam dla rozmowy ustnej z przyjacielem i dnia 20. listopada 1793 stanął w Warszawie, zkąd napisał do Kołłątaja list, z żądaniem wyjaśnień: „w jakim też stopniu są interesa Europy co do Polski i czyli jej los teraźniejszy odmieni się kiedy [2])?

W ostatnim znanym liście Kołłątaja do Barssa z 6. Grudnia 1793 z Drezna do Warszawy przesłanym [3]), znajdujemy szczegółowy obraz ówczesnego położenia Francyi i w ogóle całej Europy z pomyślnemi dla Polski horoskopami.

We Francyi rozpoczęły się rządy terroryzmu i gillotyny. Dziesięciu ludzi składających komisyę ocalenia publicznego, a raczej trzech z pomiędzy nich: Robespierre, S. Just i Couthon, którym wszyscy inni ulegali, zapanowali nad życiem, wolnością i własnością swoich współziomków. Rozesłali wszędzie komisarzy konwentu, komitetu ocalenia i podwładnego im komitetu bezpieczeństwa, zagarnęli nie ograniczoną władzę przy pomocy trybunału rewolucyjnego, który bez procesu, bez apellacyi rozstrzygał o życiu i własności oskarżonych. Na teatrze wojny prowadzonej ze skoalizowanemi siłami Prus, Austryi, Holandyi i Anglii młode zastępy ochotników ze zmiennem szczęściem walczyły przez cały rok 1793. Usunięcie się Prus od koalicyi w zamiarze przerzucenia całej siły zbrojnej na Wschód dla dokonania zaboru polskiego, dodało nowego bodźca francuzkim republikanom do zaciętej walki z najezdnikami.

---

[1]) Ibid, str. 128.
[2]) Ibid. T. II. str. 150.
[3]) Ibid. str. 159.

W takim stanie rzeczy na Zachodzie emigracya lipska przygotowując wybuch ruchu narodowego w kraju umyśliła wejść w bliższe stosunki z konwentem francuzkim i z komitetem ocalenia publicznego.

Do takiej misyi powołano Barssa.

Pobyt jego w Warszawie był niedługotrwałym. Zaledwie parę tygodni upłynęło od chwili powrotu jego do kraju, a już dnia 10. Stycznia 1794, spotykamy go w Dreźnie, gdzie jako *civis Varsaviensis* dyktuje tamecznemu notaryuszowi po łacinie akt zrzeczenia się praw swoich do kamieniczki Nr. 381 na krakowskiem Przedmieściu na rzecz żony Ludwiki i dzieci.

„*Cupius gratiam referre* — czytamy w akcie pomienionym — *carissimae conjugi suae Ludovicae e domo Rafałowicz, pro constanti illius erga se amore, fide et benevolentia, nec non illius ac filiarum: Franciscae et Juliannae sorti volens providere, omnia bona sua mobilia et immobilia uxori suae ac filiabus scribet et cedit* [1])“.

Jednocześnie, w dni dwa po owym akcie agent dyplomatyczny francuzki Piotr Parandier w liście do ministra spraw zagran. Desforgue'a d. 23 Nivose l' an II. (12. Stycznia 1794) pisanym zawiadamia o rychłym swym wyjeździe do Paryża.

„*J'ai recu ta lettre Citayen Ministre* — pisze Parandier, *ou tu me mander de me reudre anpres de toi acessitot qu' elle me sera parvenne. San attendre, je me mets en route demain et je ferai la plus grande diligence possible. Le citoyen Bars Polonais, qui a la confiance de ses concitayens patriotes et dout je t'ai deja deja parlé ni accompagnera* [2]“).

Ażeby zrozumieć powód takiego pośpiechu i cel misyi paryskiej Barssa, misyi, która otwiera nowy okres jego życia i trwać miała aż do jego zgonu, należy nam cofnąć się do początków roku 1793 i na podstawie akt archiwalnych ministeryum zagranicznego paryzkiego otworzyć obraz działalności emigracyi polskiej w Lipsku w owym okresie czasu i wyjaśnić stosunek jej i udział czynny w wywołaniu powstania kościuszkowskiego w kwietniu 1794 roku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

[1]) Dokument zdeponowanej księgi domu N. 381 w archiwum hypotecznem miejskiem w Warszawie.

[2]) Arch. spr. zagr. franc. (Pologne). Tam 322, str. 9.

STARE OSADY W ZIEMI KAMIENIECKIEJ

i dziedziczące na nich rody podolskiej szlachty historycznej

przez

KAZIMIERZA PUŁASKIEGO.

W zachodniej części dzisiejszej gubernii podolskiej, trzy dopływy Dniestru: Zbrucz stanowiący granicę od Galicyi, Żwańczyk i Smotrycz, — płyną równolegle przez całą długość dzisiejszego powiatu kamienieckiego, od północy ku południowi, przerzynając żyżne i malownicze okolice. Kraj objęty temi rzekami. stanowi cząstkę rozległych ziem, zwanych dawniej kresowemi. Ziemie te mają za sobą piękną przeszłość dziejową i ciekawe wspomnienia, z czasów tych dawnych zostało jeszcze trochę zabytków, które ocalały od „ognia i miecza“.

Okolica, o której mówimy, roi się obecnie pracowitą a spokojną ludnością. Żyżne i urodzajne niwy zajęły miejsce dawnych puszcz, wytrzebionych z biegiem wieków, a rozwinięta kultura rolna, nie zostawia pięści ziemi bez uprawy. To też dzisiaj na Podolu — jak śpiewa poeta — „Świat kłosami tylko płynie, — I w obszarach oko ginie“.

Za dawnych czasów inaczej tu bywało. Dużo stepu, jeszcze więcej puszcz i zarośli, a w około odwiecznych osad, niewielkie niwy sochą rozdzierane. Przez te puszcze i stepy, szły szlaki do głównych osad, bronionych przez fortalicye wznoszone bądź z drzewa, bądź z kamienia, a obok nich, — pod ich zasłoną, lo-

kowały się w kolejnem następstwie. — Ludne i liczne wioski. Szlakami tymi sunęły kiedyś zastępy pohańców, często zaglądających w te strony, albo hufce pancerne, szukające odwetu, a nie rzadko ginące w obronie tych dalekich kresów. Krocie rodów szlacheckich minęły się na przestrzeniach tutejszych, bo każda kolejna kolonizacya, hekatombę swoją składać musiała w obronie gniazd usłanych. Mnóstwo też rodów, o których i słuch zaginął, odkrywamy w starych aktach, — jakby coraz to nowe pokłady geologiczne. Jedne rody ginęły, drugie powstawały; jedne wzbijały się na wyżyny społeczne, drugie ostać się nie mogły w obec nieubłaganej siły żywiołowej ciągłych wojen i najazdów. Życie wrzało tu w całej pełni. Ziemie kresowe przyciągały coraz nowych osadników. Bój z Tatarszczyzną otwierał drogę do sławy, dostojeństw i zaszczytów. Rycerskich ludzi wabił jakiś urok poetyczny. Jakiś wdzięk tajemniczy przywiązywał ich do tych ziem kresowych. choć tak odległych od serca kraju, od średniska władzy i państwa. A bajeczna żyzność gruntu, o której dziwy wypisywano, ściągała ze wszystkich zakątków dawnej Rzeczy pospolitej. — całe zastępy pracowników, dorabiających się stopniowo fortuny i znaczenia.

Owe atoli częste najazdy, zmiatały nieraz kwitnące już osady, a z niemi ginęły pokolenia całe. I znowu duże przestrzenie, z trudem zaludnione, zmieniały się w step albo puszczę. Po przerwie. mniej lub więcej długiej, nowe kolonizacye, jako wyraz niespożytej siły żywotnej narodu, — obejmowały znowu te puste przestrzenie, aby ponownie życiem je natchnąć.

Cały ten szmat ziemi. sięgający na południe do Dniestru, a zroszony od zachodu dopływami jego: Zbruczem, Żwańczykiem i Smotryczem, zajmujący cały dzisiejszy powiat kamieniecki i części płoskirowskiego, latyczowskiego i uszyckiego powiatów, to dawna, z czasów jagiellońskich ziemia kamieniecka. Pełno tutaj wspomnień wielkich zdarzeń dziejowych, głośnych imion i głośnych czynów. Ziemia kamieniecka przechodziła najrozmaitsze koleje. W odległych epokach zalew Tatarszczyzny zniszczył doszczętnie rozwinięte tu życie, — o którem nawet mało co wiemy. Później ziemia podolska była placem spornych bojów z Litwą, ale kultura polska wcześnie tu wnikała, osadnictwo polskie za pierwszego z Jagiellonów ogromne robiło postępy. To też w tym zakątku ziem kresowych rozradzały się w XV. wieku gniazdowe rody historycznej szlachty podolskiej. Najazdy Tatarów,

Wołochów i Turków w ciągu długich wieków, pustoszyły te kraje, a później za wojen kozackich nowe spadły klęski; — niewola turecka po upadku Kamieńca dała się również we znaki ziemiom podolskim. Nie zliczeć wojen toczonych na tych przestrzeniach aż do wichury hajdamackiej i rozpaczliwych wysiłków rycerzy barskich. To też po dziś dzień jeszcze, wielkie mogiły wskazują dawne pobojowiska, a ze starych zamków, których tu pełno było, gdzieniegdzie zaledwie zostały jeszcze ślady, które czas i ludzie niszczą do reszty.

O tej cząstce właśnie starego Podola, podajemy tu szkic pobieżny, dotykając kolejnych dziejów tutejszej ziemi i ludzi, tutejszych osad, wsi i miasteczek, rozrzuconych nad brzegami rzek wymienionych i dalej ku wschodowi, w obrębie granic dawnej ziemi kamienieckiej. Przed laty trzystu z okładem, Bartosz Paprocki, pisząc swoją „Panoszę" — to jest „wysławianie panów i pamiąt ziem ruskich i podolskich" — mówił:

„...Alem zaraz zrozumiał sprawy ich poczciwe
Które godne na wieki, aby były żywe..."

I w rzeczy samej, godzi się mieć w sercu i pamięci owe „sprawy poczciwe", z należnym pietyzmem odsłaniając całun pokrywający szczątki minionej sławy i wielkości. Jeżeli wszelki lustr rodów żyjących, — i to nierzadko lustr bardzo podejrzanej wartości, tak solennie bywa podnoszony, — godzi się „dla pokrzepienia ducha" — jak się wyraził wielki znawca naszej przeszłości, — zaglądać do starych dziejów, do dziejów tych rodów, które słynęły w swoim czasie, a których tak wiele pochłonęły kolejne przewroty dziejowe. Kreśląc tu wspomnienia przywiązane do różnych miejscowości leżących w dawnej ziemi kamienieckiej, nie możemy wyczerpać przedmiotu, bo co chwila niedostatek materyałów przerywa wątek opowieści. Z uzbieranych atoli zapisek archiwalnych, ze wskazówek zaczerpniętych w starych przewilejach i pismach ocalałych od zagłady, dadzą się choć po trochę odszukać niektóre rysy charakterystyczne dawnego życia i dawnych urządzeń na kresach podolskich [1]).

[1]) Na tem miejscu składamy podziękowanie osobom, które raczyły nadesłać nam materyały archiwalne, odnoszące się do historyi miejscowości i rodzin podolskich — objętych w przedsięwziętej pracy.

I.

Szarawka

za władania Szarawskich i Pretficzów.

Nieopodal od wierzchowin Smotrycza, ku zachodowi, w dzisiejszym powiecie płoskirowskim, leży nad Uszką małe miasteczko Szarawka, dziś zamieszkałe przeważnie przez ubogie żydowstwo, a będąc na uboczu od wielkich traktów handlowych, nie mogło się podnieść w ostatnich czasach, ani też rozwinąć handlu lub przemysłu. Są tu jednak ślady dawniejszego znaczenia Szarawki, a pierwsze o niej wzmianki dokumentalne sięgają pierwszej połowy XV. wieku. Tutaj rozradzał się wówczas możny ród podolski Szarawskich, choć uszedł zupełnie baczności heraldyków. Później władał tutaj na rozległych posiadłościach należących do Szarawki, rycerski ród Pretficzów, chlubnie zapisany w dziejach ziem kresowych. Wznieśli tu oni zameczek obronny, i fundowali klasztor OO. Dominikanów. Z fundacyi tych zostało zaledwie trochę murów, przypominających świetniejsze czasy tej placówki kresowej.

Pierwotnie wieś Szarawka była królewszczyzną. Dzierżawcą jej w początkach XV. wieku był jakiś Żegota, bliżej nam nieznany, a trzymał ją w 30 grzywnach. Atoli w 1431 roku, Władysław Jagiełło wykupił włość te od Żegoty, i nadał ja Domaratowi de Sladkow, również w 30 grzywnach. Wówczas należały do Szarawki wsie: Zielińcze, Iwankowce i Perehinka [1]). Było ich więcej zapewne, ale te tylko wymienione w streszczeniu przywileju donacyjnego, z którego korzystamy. Do powyżej wymienionych włości, inne przywileje przyznawały jeszcze temuż Domaratowi lub jego synowi wsie: Burbuczyńce (Borbuchy), pustoszę Kopystyn, Michałkowo Dworzyszcze i Rzemieszowo Dworzyszcze, wykupione od Jana de Chomotow za 60 grzywien. Przywileje te wydawane były w latach 1432, 1433, 1440, 1442 1475, 1488, 1489 i 1490, z tych przywilej z 1489 r., na imię Andrzeja

---

[1]) Przywilej powyższy oraz inne dotyczące Szarawki i wsi okolicznych, na rzecz Domarata wydane, przedstawionymi były w 1547 r. sądowi kamienieckiemu, o czem Michał Kostrzewski, podsędek kamieniecki, zeznaje i zaprzysięga (Arch. Centr. Kijows. Ksi. 3600 f. 56).

de Balina, syna Jana Domarata [1]). Niejednokrotnie też zaznaczane są tutaj zasługi Domarata, a chociaż donacye powyższe były warunkowemi i przy zwrocie sum zapisanych, nadane włości wrócić miały do korony, król zobowiązywał jednak Domarata, —co się zwykle powtarzało w ówczesnych dyplomach donacyjnych na Podolu, aby *„in terris Podoliae residenciam faciat personalem“*, i co zatem idzie, aby dostarczał oznaczonej liczby zbrojnych czasu trwogi i najazdu. W ten sposób tworzyły się na Podolu ówczesnem pewne centra obrony, tą drogą gorliwie popierana kolonizacya, dążyła do zabezpieczenia prowincyi, która *„propter defectum hominum“*, jak czytamy w wielu przywilejach, — narażoną była na wszelkiego rodzaju zamachy i najazdy.

Ze względu na długi period lat (1431—1490), w których kolejno wydawane były te przywileje donacyjne, przypuszczamy, że było dwóch Domaratów, ojciec i syn: Domarat de Sladkow, który w 1456 r. jest świadkiem na akcie donacyi Tusylowiec pod Kamieńcem przez Bartosza Buczackiego na rzecz Jana Bahawskiego [2]) i Jan Domarat, syn jego. Nie znając rzeczonych przywilejów w całej ich rozciągłości, z samej tylko wzmianki o nich, wątpliwości tej rozstrzygnąć nie możemy.

O pochodzeniu owego pierwszego Domarata nic nie wiemy. Tyle tylko, że pisał się de Sladkow, a potomkowie jego, przybrawszy nazwisko Szarawskich, dodawali doń: alias Sladkowski. Jeden z nich w połowie XVI wieku pisał się: Jan Domarathowicz Schliatkowski alias Szarawski. Może pochodzili z województwa rawskiego, gdzie żył ród Sladkowskich ze Sladkowa, którym Niesiecki przydaje herb Jastrzębiec. A osiadłszy na Podolu, dzierżyli tu przez całych lat sto rozległe posiadłości, znikają zaś z widowni dziejowej około połowy XVI wieku.

Z przywileju z 1489 r. widzimy, że synem Jana Domarata, był Andrzej, który trzymając drugą rozległą królewszczyznę, Balinę pod Kamieńcem, pisał się de Balina, ale po nad tą wzmianką, nic więcej nie, wyszukaliśmy o nim w aktach.

Filip Szarawski alias Slyathkowski, który pisał się także Filip Domarat de Balina, otrzymał od Zygmunta I. w 1510 r. przywilej na prawo pobierania na własny użytek mo-

---

[1]) Tamże.

[2]) Tamże ksi. 3599 f. 113—117.

stowego w Szarawce: od wozu z towarami po 1 gr. polskim, a po półgrosza od wozu kmiecego, pod obowiązkiem utrzymywania dróg w należytym stanie, oraz we wsi Bohucicach i Horyłowce[1]). Tenże Filip Szarawski ożenionym był z Barbarą Bronyszówną z Bronyszowego dworu, dziedziczką Supruńkowiec oraz wielu innych włości, w bliższej i dalszej okolicy Kamieńca[2]). Ci zaś Broniszowie była to zapewne gałąź znakomitego rodu wielkopolskiego Wieniawitów Broniszów, a osiadła na Podolu już w XV wieku, bo pod rokiem 1496, Jan Bronisz, sędzia grodzki kamieniecki, podpisywał jako świadek, dział braci z Nowodworu[3]). Siostra Filipa Szarawskiego (imię nie znane), była za Podfilipskim[4]).

W 1529 r. nie żył już Filip Szarawski, bo wówczas Stanisław ze Sprowy Odrowąż, pozywał pozostałe po nim potomstwo: Jana, Elżbietę, Annę i Helenę o zbiegłych poddanych ze wsi Busikowiec do Werbki, wsi Szarawskich[5]). Po Filipie i jego żonie pozostały znaczne dobra, bo oprócz Szarawki i rozległych obok posiadłości, oraz Baliny pod Kamieńcem, trzymali lub dziedziczyli: Werbkę, Michałkowce, Supruńkowce, Moxę (Muksza), Ostrowczyńce (Ostrowczany), Niemiję, Nefedowce i część Huminiec. Z córek Filipa Szarawskiego, Anna była za Jędrzejem Sieciechem z Horodnicy, wojskim kamienieckim, któremu wniosła w posagu 200 złotych, oraz trzecią część macierzystych majętności: Supruńkowiec, Mukszy, Ostrówczyniec i innych[6]), a Helena

---

[1]) Staroż. Polska, Tom II. str. 1028.

[2]) Arch. Centr. kijows. ksi. 3600 f. 29.

[3]) Oblata tego dzieła w Aktach kamienieckich z 1732 r.

[4]) W zapisce aktowej z 1542 r. czytamy: „Joannes Sharawski, bona sua hereditaria Verbka in distr. Camen., gnsis Michaeli, Martino et Paulo Podphilipskim, heredibus de Fredrowce, fratribus suis patruelis dedit (Arch. Centr. Kijows. ksi. 3598 f. 283).

[5]) Tamże fol. 119-a.

[6]) Ów Sieciech pochodził od Szczawińskich z ziemi gostyńskiej, (Niesiecki Tom IV. str. 61, 75). Był atoli nie h. Prawdzic ale h. Topór, — syn Wojciecha, który „dla sławy rycerskiej“ wyniósł się na Podole. Tam przybrali nazwisko Sieciech, może na pamiątkę jednego z najznakomitszych Toporczyków. Jędrzej Sieciech był w latach 1550 i 1551 wojskim kamienieckim (Arch. Centr. Kijows. ksi. 3600 f. 82, 125), a z zapiski współczesnej w dyaryuszu sejmu piotrkowskiego z 1558 r., dowiadujemy się, że został kasztelanem bieckim (Dzienniki Sejmów za Zygm. Augus. str. 43). — W 1535 roku po-

za Janem Chocimirskim, w 1565 r. wspominana jako wdowa[1]). Są jeszcze ślady o trzeciej córce Filipa Szarawskiego, Elżbiecie za Mikołajem Iskrzyckim de Jagielnica, podkomorzym i starostą podolskim (1537—1540), który w 1539 r. zastawia Janowi Sroczyckiemu, *„villam Balyna cum ejusdem vill. Vyssck“* [2]), Była to zapewne część owej Baliny, która jak widzieliśmy powyżej, była we władaniu Szarawskich. I dopiero w 1555 r. Leonard syn Jana Sroczyckiego zwraca tę majętność córce Mikołaja Iskrzyckiego, Annie de Iskrziczin, wówczas żonie Hieronima Lanckorońskiego, starosty skalskiego [3]).

Syn zaś Filipa Szarawskiego Jan, na akcie z 1543 r. nazwany Jan Domarathowicz Schliatkowski alias Scharawski, pisał się *haeres* in Balina, Werbka, Michałkowce i t. d. Atoli dobra

---

sag żony Anny Szarawskiej, zabezpiecza na dobrach swych, części castri et oppidi Łyczkowce i wsiach przyległych, zobowiązując się wykupić macierzyste dobra żony... zastawione Janowi Sroczyckiemu, podstarościemu kamienieckiemu. Wreszcie oboje małżonkowie zapisują sobie dożywocie (Arch. Centr. Kij. ksi. 3598 f. 224—225). W 1567 r. dziedziczkami Suprunkowiec były cztery córki Sieciecha: Konstancya Kiemliszowa, Elżbieta Dobromirska, Katarzyna Radecka i Zofia wówczas panna (Źród. Dziej. Tom V. str. 21). W aktach kamienieckich jest jeszcze wymieniona Anna Sieciechówna za Mikołajem Kopyczyńskim (Arch. Centr. Kij. ksi. 3598 f. 47).

[2]) Źród. Dziej. Tom XIX. str. 191, 192.

[1]) Arch. Centr. Kijows. ksi. 3598 f. 248—249.

[2]) Tamże ksi. 3610 f. 186. Iskrzyccy pisali się de Iskrziczin. Osadę tej nazwy znajdujemy na Szląsku (Słow. Geogr. III, 305), może więc stamtąd przybyli na Ruś i Podole. Już w drugiej połowie XV. wieku dziedziczyli Jagielnicę z przyległościami w powiecie czerwonogrodzkim. W 1473 r. Zygmunt z Jagielnicy był sędzią kamienieckim. Przypisują na fundacyę kościoła w Jagielnicy. (Słow. Geogr. III, 367). W 1495 r. Jan de Jagielnica był chorążym kamienieckim (Arch. Cent. Kij. ksi. 3602 f. 216—219). Mikołaj Iskrzycki de Jagielnica, najpierw stolnik kamieniecki (1519—1528), następnie podkomorzy (od 1532), wreszcie starosta podolski (1537—1540). (Arch. Cent. Kij. ksi 3600 f. 204. ksi 3599 f. 120, 208, ksi 3598 f. 248, 260 Źród. Dziej. Tom V. str. 5). W 1519 r. wraz z Ottonem z Chodcza, wojewodą ruskim wysłany dla omówienia pakt w sprawach pogranicznych ze Stefanem, wojewodą mołdawskim (Hubert, Pamięt. I, 268). W 1528 r. jako rotmistrz królewski, wraz z Jazłowieckim poraził 1000 Tatarów (Bielski str. 1042). Jedyna jego córka Anna za Hieronimem Lanckorońskim, starostą skalskim, wniosła Jagielnicę i inne posiadłości Iskrzyckich w dom Lanckorońskich.

powyższe stanowiły królewszczyzny w pewnych sumach nadane Szarawskim. Tego rodzaju przywłaszczenie praw dziedzictwa na dobrach królewskich, zdarzało się bardzo często, szczególniej w województwach kresowych. Wyczerpany zawsze skarb królewski za Jagiellonów, nie był w stanie wykupywać majętności, na które wydane były przywileje warunkowe, w pewnych oznaczonych sumach. Niekiedy w gwałtownych potrzebach skarbu, pobierano od donataryuszów pewne sumy, w których szły zapisy królewskie na posiadłości ziemskie, ale daleko częściej owe sumy onerujące dobra nadane, stanowiły nagrodę, którą obdarzano zasłużonych. W razie złożenia sumy rzeczonej, lub wpłynięcia dożywocia jednego lub więcej, posiadłości nadane wracać miały do stołu królewskiego. Tymczasem owi dzierżawcy i czasowi tenutaryusze, trzymając tego rodzaju posiadłości z pokolenia w pokolenie przez długie nieraz lata, — dowolnie rozrządzali się tutaj, zastawiając dobra rzeczone, sprzedając *per abusam* — jak zwykle wyrażano się, — rozdzielając na części przy familijnych działach i t. d. W ten sposób uzurpowano nieraz praw dziedzicznych, a choć lustratorowie z mozołem doszukiwali się prawdziwej istoty rzeczy, często zatracone były wszelkie ślady pierwotnych donacyi. ku czemu przyczyniało się położenie kraju, ciągłe wojny i najazdy, brak rozgraniczenia jednych dóbr od drugich i niedostatecznie uregulowany cały porządek administracyjny. Bywały znów częste przykłady, że dobra królewskie, dzierżawy, przyznawano dziedziczną własnością dotychczasowych ich dzierżawców.

W późniejszych aktach, są luźne wzmianki, że Jan Szarawski był kasztelanem kamienieckim, z tym bowiem tytułem kilkakrotnie wymieniony. Żadnej jednak wskazówki niema, w jakich mianowicie latach mógł trzymać kasztelanię kamieniecką; — przypuszczamy z wszelkiem atoli zastrzeżeniem, że w latach 1544 —1546, bo w 1543 r. kasztelanem był jeszcze Albert Starzechowski, a w 1546 r. już Mikołaj z Buczacza.

Jan Szarawski ożenionym był z Zofią de Nieteczyńce, córką Jaroszowskiego de Jaroszewice, który obszerne miał posiadłości ziemskie w powiecie latyczowskim na Podolu. Zdaje się, że Jan Szarawski potomstwa nie zostawił, a żona jego wyszła 2-voto za Jana Zawiszę de Lyssa [1]). W 1555 r. występuje jako wdowa

[1]) Arch. Centr. Kij. ksi 3600 f. 72—73.

i wówczas miało miejsce rozgraniczenie dóbr jej: Nieteczyniec i Żeniszkowiec od dóbr okolicznych [1]).

W aktach kamienieckich znajdujemy bardzo wiele tranzakcyi sporządzonych przez Jana Szarawskiego, na zastaw licznych jego posiadłości podolskich. I tak w 1539 r. zastawia Andrzejowi Brzewynowskiemu „*villam desertam Barborczyńce, in fluvio Uszyca* [2]). Tegoż roku w sumie 130 złotych zastawia Wiktorynowi Podfilipskiemu, sędziemu ziemskiemu kamienieckiemu wieś Werbkę [3]), którą w 1542 r. ceduje Michałowi, Marcinowi i Pawłowi Podfilipskim, synom Wiktoryna, swym braciom ciotecznym [4]), osobno zaś Michałowi wieś Michałkowce [5]), a później w 1546 roku Werbkę i Iwankowce [6]). W 1545 r. ceduje Maciejowi Radeckiemu, Bronyszów dwór, przypadły na niego po matce Barbarze, a w części przez nabycie od siostry Heleny Chocimierskiej [7]). Tenże Radecki już dawniej (1539), nabył był od Jana Szarawskiego na lat dwanaście: Balinę, Nowosiółkę, część Suprunkowiec, trzecią część Ostrowczyniec i Mukszy, oraz *fortalitium ac oppidum* Szarawka i wsie do niej należące [8]). Szarawka atoli nie utrzymała się przy Radeckim, lecz wskutek okoliczności bliżej nam nieznanych, wróciła do dóbr stołu królewskiego, i tegoż jeszcze 1539 r. nadaną została Bernardowi Pretficzowi, o czem niżej mówić będziemy. W 1545 r. tenże Radecki wraz z Andrzejem Sieciechem, szwagrem Jana Szarawskiego, otrzymują od niego cessyę na wsie: Werbkę, Michałkowce, Iwankowce, Borburczyńce, Nyżną Derażnię, Wardayowce, Wastrowce, Popowce i inne [9]). Odtąd w aktach kamienieckich, żadnych nie znajdujemy zapisek o Janie Szarawskim, który jak się zdaje, ostatnim był ze swego rodu. Niesiecki wymienia tylko jakiegoś Stanisława Szarawskiego h. Radwan na Żmujdzi pod rokiem 1648, ale trudno dośledzić czy pochodził od Szarawskich z Podola. Zresztą heraldycy nic o nich nie piszą, a jednak, jak świadczą zapiski aktowe, przez nas przy-

[1]) Arch. Jug. Zap. Ros. Cz. VIII. Tom II. str. 354—356.
[2]) Arch. Centr. Kij. ksi. 3598 f. 282.
[3]) Tamże f. 253-a—254.
[4]) Tamże f. 283.
[5]) Tamże f. 281-a—282.
[6]) Tamże ksi. 3600.
[7]) Tamże f. 29.
[8]) Tamże ksi. 3598 f. 258.
[9]) Tamże ksi. 3600 f. 34—35.

toczone, był to ród możny, władający na licznych posiadłościach. Nie możemy jednak dokładnie rozróżnić, które z nich były dziedzicznemi, a które dzierżawami. Za czasu Szarawskich, Szarawka przeistoczoną została na miasto i placówkę obronną. Gdy bowiem powracała do rąk królewskich, była już *fortalitium ac oppidum.*

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z POGLĄDÓW SPOŁECZNYCH
LWA TOŁSTOJA

NAPISAŁ

WITOLD LASSOTA.

I.

Z okien pałacu swego patrzał przez lat dwadzieścia na stojącą opodal fabrykę jedwabiu. W tej fabryce pracowało i pracuje codziennie trzy tysiące robotnic i siedmiuset robotników, przez godzin dwanaście dziennie, za liche wynagrodzenie. Ci robotnicy i robotnice rekrutowali się głównie z ludności wiejskiej, napływającej do miasta dla zarobku. Wchodzili do fabryki młodzi, czerstwi i weseli. Ale wkrótce róże lic więdły, policzki zapadały się, bladość pokrywała je, nędza i rozpusta znaczyły na nich ślady swoje. W ten sposób zmarniało przez lat dwadzieścia tysiące dziewcząt i młodych robotników!

Nie był to jednak jeden fakt. O wielu innych podobnych słyszał także od ludzi znajomych. Były to jednak tak straszne i ponure historye, że nieraz nie chciał im wierzyć. Tak też było, gdy jeden ze znanych mu magazynierów na kolei Moskiewsko-Kazańskiej opowiadał, iż na dworcu, na którym pełnił służbę, wyrobnicy ze wsi okolicznych musieli pracować jednym ciągiem 36 godzin przy wyładowywaniu i naładowywaniu ciężarów na wozy kolejowe. Potem spią oni tylko jedną noc, aby znów nazajutrz zbudzić się do tej samej pracy.

Za to wszystko zaś zarabiają na dobę około jednego rubla [1]).

---

[1]) 1 rubel = 1 złr. 25 ct.

Nie chciał temu wierzyć i udał się sam na dworzec, aby przekonać się naocznie o prawdzie słów magazyniera. Niestety, wszystko było prawdą! Zobaczył tłum ludzi nędznych, zdziczałych pod każdym względem, pracujących jak maszyny przez godzin 36 i wyżej jednym ciągiem. Wzięli jego, Tołstoja, za wysokiego urzędnika kolejowego, bo był odziany w futro i wyglądał syty, i prosili go, aby im pozwolił użalić się co do jednej rzeczy. Sądził, że skarżyć się będą na ilość godzin pracy. Ale stało się inaczej! Oni nie mieli już nawet jasnego wyobrażenia o ogromie swej nędzy. Skarżyli się tylko, że izba, w budynku kolejowym, w której przy ognisku mogli na chwilę ogrzać członki skostniałe w czasie roboty, lub przespać się małą godzinkę, gdy z sił całkiem opadli, była za ciasna dla nich... Więcej nie pragnęli niczego! Z głębokim bolem w sercu i goryczą odwrócił się od tego strasznego widoku i odjechał do domu rozmyślać nad nędzą, którą oglądał własnemi oczyma. Uderzyło go, iż żaden rozsądny właściciel konia lub wołu nie każe zwierzęciu pracować 36 godzin bez przerwy, bo wie, że zwierzę nie zniosło by tego i zniszczało. A przecież ludzie każą innym ludziom pracować tak długo, tysiące zaś innych ludzi sytych i ogrzanych patrzy na ten obraz spokojnie, chłodno, uważając go za coś naturalnego. Skąd pochodzi ta dziwna obojętność? Wreszcie znalazł odpowiedź!

Od wieków ludzie, którym los pozwalał żyć wygodnie kosztem pracy, znoju i życia drugich, wynajdywali poglądy na świat, usprawiedliwiające ten fakt okrutny, iż tysiące innych ludzi musiało ginąć z nadmiaru pracy i nędzy, aby tylko niewielu mogło bawić się i próżnować. Naprzód były to nauki treści religijnej. Głosiły one, iż niezgłębiona wola Opatrzności skazała jednego na pracę i głód — a drugich na używanie. Później mówiły one, że niewolnicy za nędzę doczesną będą mieli nagrodę w niebie i w ten sposób krzywda ich się wyrówna. Inne jeszcze głosiły wreszcie, że Bóg powierzył bogactwa pewnej części ludzi, aby używali ich w większej części dla siebie, a w mniejszej dla drugich.

Po tych religijnych poglądach nastąpiły inne naukowe. Powstała nauka t. z. ekonomii politycznej i znalazła zaraz formułki czarodziejskie, na swoją modłę uczynione, dla usprawiedliwienia złego stanu rzeczy. Oto odkryła one rzekome „prawa“, według których rozdział dóbr ziemi ma zależyć od podaży i popytu tak co do dóbr jak i pracy, od kapitału, rent, wysokich płac i t. d. Sypnęła ludziom w oczy szeregiem pojęć abstrakcyj-

nych, aby zaćmić im wzrok i nie pozwolić im widzieć jasno niesprawiedliwość. Tylko sama sobie nie może zdać jasno sprawy z tego, co należy rozumieć przez te pojęcia, przez te formułki czarodziejskie, o których znaczenie kłócą się ciągle mężowie nauki. I warstwy uprzywilejowane społeczeństw dzisiejszych uczuły się uspokojone w sumieniu co do tyranii, której dopuszczają się wobec innych ludzi, każąc im pracować ciężko dla siebie. A uspokoiły się tem łatwiej, iż nauka podaje zarazem rzekomo niechybne środki poprawy złego losu pracujących. Oto robotnicy potrzebują tylko urządzać strejki zdobyć dla siebie prawa polityczne, wiązać się w różne stowarzyszenia dla ochrony swych interesów, a uzyskają w ten sposób zmniejszenie godzin pracy i podwyższenie płac, a nawet w końcu dojść mogą do tego, że do rąk ich przejdą narzędzia produkcyi. W ten sposób los ich poprawi się zupełnie będą tak szczęśliwi, jak inni uprzywilejowani tego świata.

Niestety te rady nauki okazują się zupełnie fałszywemi, tak jak fałszywemi z gruntu są jej teorye, usprawiedliwiające „naukowo" dzisiejszy stan rzeczy.

Być bowiem może, iż robotnicy, idąc drogą, przez naukę wskazaną, dojdą do tego, iż uzyskają bardzo daleko idące ulgi dla siebie w warunkach i znaczne udziały w owocach swej pracy. Ale przeto nie poprawi się wcale ich zła dola. Ona bowiem polega na tem, iż tysiące ludzi zmuszonych jest, pracując w fabrykach, żyć w sposób nienaturalny, wśród stronnych nieraz warunków zdrowotnych, prowadzi życie niezdrowe, tracące w nich siły i niszczące moralność. Cóż więc może im pomódz zmniejszenie godzin pracy i powiększenie płacy, jeśli mimo to nie będą mogli odzyskać swego prawdziwego szczęścia c n o t y i w o l n o ś c i.

O, przecież nawet najbardziej postępowi mężowie nauki, socyaliści, którzy żądają oddania narzędzi produkcyi na własność robotnikom, uważają za rzecz zupełnie zrozumiałą, że w ich utopijnem państwie będą istniały fabryki i praca fabryczna. Różnica tylko od dzisiejszego stanu rzeczy będzie polegała też na tem, iż wtedy nietylko sami uczeni i wykształceni, ale wszyscy zarówno będą korzystali rzekomo w równej mierze z wygód życia. Przy tem jednak ci myśliciele wyobrażają sobie milcząco, że oni i w tem także państwie zajmować się będą nauką, sztuką, a inni ludzie czyszczeniem kloak i innemi podobnemi mniej przyjemnemi pracami. Pocieszają się oni wprawdzie w tym względzie tą myślą, iż robót

tych będzie się dokonywało w tak udoskonalony sposób, iż przestaną być wstrętnemi lub niebezpiecznemi, a nadto będą zajmowały każdemu robotnikowi tylko małą ilość czasu. Ale i ten cały pogląd jest z gruntu fałszywy. Dziś już bowiem potrzeba ogromnego, do ostatnich granic posuniętego wytężenia sił i kolosalnych ofiar ludzkich, aby zdobyć środki, które wynalazła t. z. cywilizacya, by przyjemnem uczynić życie garstki ludzi, stojących na szczytach społeczeństwa. Gdyby więc środków tych miało się dostarczyć dla wszystkich ludzi, to nawet największy postęp techniki nie sprostałby temu, lecz potrzebaby jeszcze było w tym celu bardzo ciężkiej i długiej pracy całych mas ludzkich. Któż jednak chciałby się podjąć dobrowolnie takiej pracy w wolnem, socyalistycznem państwie? Jedynie przymus mógłby skłonić do tego ludzi i to stokroć gorszy, niż dzisiejszy. Nowa więc niewola i owe ofiary ludzkie byłyby konsekwencya tego systemu.

A więc wszystkie teorye naukowe, odnoszące się naprawy dzisiejszego systemu społecznego, są fałszywe. Skąd to pochodzi? Oto stąd, iż ludzie zajmujący się nauką, należą do klas zamożnych dzisiejszych społeczeństw, a skutkiem tego są stronniczymi. Podają oni tylko leki na zło, które mogą mu ulżyć, pozornie, ale nie mogą zniszczyć radykalnie. Bo gdyby chcieli zło wykorzenić ze szczętem, musieliby zniszczyć całą cywilizacyę, tego zaś nie śmieliby doradzać ludzkości, ani w interesie własnym, ani klas społecznych, do których należą, a które nie chciałyby się wyrzec przyjemności życia, przez cywilizacyę dostarczonych. Hasłem dzisiejszego świata jest *„fiat cultura, pereat justitia!“* ale to hasło jest fałszywe, brutalne i niegodne chrześcijan! Jeżeli bowiem dla korzyści kultury ma 99/100 ludności żyć w niewoli, a tysiące okupywać życiem zdobycze dóbr cywilizacyi, to lepiej niech ta cywilizacya przepadnie! Humanitarnem hasłem świata może być jedynie *„fiat justitia, pereat cultura!“*

Lecz ta cywilizacya niepotrzebuje zresztą koniecznie ginąć. Niech tylko ludzie wysilą się na taki postęp techniki, aby produkcya dóbr cywilizacyi nie kosztowała ani jednego życia ludzkiego, a ta sławiona cywilizacya będzie mogła sobie istnieć spokojnie. Nauka więc zawodzi nas, jeśli chcemy zdać sobie jasno sprawę z tego, czem jest dzisiejszy stan społeczny i jakie są jego złe strony.

Musimy więc sami sobie na to odpowiedzieć. Jak więc ten stan rzeczy przedstawia się nieuprzedzonemu widzowi? Gdyby do naszych społeczeństw przybył człowiek z jakichś odległych świa-

tów, nie znający szerzej historyi i naszych urządzeń, uderzyłoby go przedewszystkiem to, że znacznie mniejsza część ludzi żywi się, ubiera, mieszka dobrze i wygodnie, nosi czystą bieliznę i ma delikatne ręce, przy tem albo nic wcale nie robi albo lekką tylko wykonywa pracę; natomiast przeważna część ludzi, brudno i nędznie wyglądająca, z brudnemi, grubemi rękami, pracuje ciężko dzień cały, a nawet całe noce, poto tylko, aby tamta mniejsza część mogła się oddawać przyjemności nic nie robić.

Istnieje więc niewolnictwo w łonie dzisiejszych społeczeństw. Większa bowiem znacznie część ludzi musi oddawać się pracy w ciężkich warunkach, jak widzieliśmy już, przykrych, często szkodliwych dla zdrowia, niebezpiecznych dla życia, — pracy nadto, nie dającej żadnego zadowolenia pracującemu, który nie można przerwać w miarę potrzeby indywidualnej robotnika, bo jest zależna od maszyny, — pracy przymusowej, bo do niej skłania robotnika obawa śmierci z głodu. Niewolnikami dni dzisiejszych, którzy w takich właśnie znajdują się warunkach, są nietylko robotnicy fabryczni, popadający przez swą pracę w zupełną zawisłość od właściciela fabryki, ale i ci rolnicy, którzy na obcej muszą pracować ziemi, albo swoją rolę uprawiać na to, by módz opłacać procenta bankom i lichwiarzom: a dalej wszyscy lokaje, kucharze, pokojowe, posługacze, woźnice i t. d., którzy życie całe pełnić muszą usługi, ludzkiej nieodpowiadające naturze, a które przez to muszą być im samym wstrętne. Niewolnictwo istnieje dziś w całej pełni, tylko w innej formie niż dawniej, treść jego natomiast pozostała ta sama. Ludzie myślą, iż go niema, bo słyszą ciągle, że niewolnictwo znosi się dzisiaj po wszystkich zakątkach ziemi. Ale to są wieści fałszywe! W gruncie rzeczy rozchodzi się bowiem jedynie o zastępywanie jednej formy niewolnictwa przez drugą. Niewolnictwo dawniejsze *„sensu stricta“* i poddaństwo zniesiono dopiero wtedy, gdy wymyślano dzisiejsze formy niewolnictwa, pozwalające tak jak dawniej mniejszej części ludzkości rozporządzać dowolnie pracą i życiem większej części ludzi.

Jeżeli teraz zastanowimy się nad tem, co popycha tę większą część ludzi w niewolnictwo, to przyjść musimy do przekonania, że trzy są czynniki, które sprowadzają ten opłakany stan rzeczy. Najpierw to, iż większa część ludzi nie ma własnej ziemi, na której mogłaby żyć i pracować. Dalej daniny (podatki) wszelkiego rodzaju, których ci ludzie nie mogą opłacać bez wykonywania pracy na rzecz i korzyść innych ludzi. Wreszcie fakt, iż

ta większa część ludzi, pozbawiona środków materyalnych, uczy się od warstw zamożnych potrzeb luksusowych, które zmuszają ją do pracy w fabrykach, gdyż inaczej nie mogłaby zadowolić potrzeb zbytkowych. Najstraszniejszym jest ten czynnik trzeci: na pierwsze dwa możnaby znaleść lekarstwo, — na chorobę, pochodzącą z zakażenia się prostaczków kulturą i jej fałszywemi zdobyczami, niema żadnego leku.

Ale jakie przyczyny pozbawiają człowieka posiadania ziemi, jaka siła zmusza go do niszczenia danin, które pozbawiają go wolności i niezawisłości? Niemieccy socyaliści odpowiadają na to, iż są to „żelazne prawa pracy“ — lecz jest to fałsz! Społeczne stany są tylko skutkiem pierwszych urządzeń, panujących w pewnej epoce, bo prawo normuje każdoczesny ustrój społeczny. Prawa zaś, ustawy tworzą ludzie. Przyczyną więc niewolnictwa dzisiejszego nie jest „żelazne prawo płacy“, lecz są nią dzisiejsze ustawy, dzisiejsze prawa, które mówią, iż każdy kawałek ziemi musi być czyjąś prywatną własnością, która może przejść w inne ręce drogą spadku lub spuścizny. Dalej prawa, żądające od każdego człowieka, aby płacił podatki. Wreszcie trzeciem takiem prawem jest prawo własności na ruchomościach.

Jesteśmy tak przyzwyczajeni do tych praw, że uważamy je za coś zupełnie naturalnego. A jednak jeśli się im bliżej przypatrzymy, to okazują się nam one jako najniesprawiedliwsze w świecie, jako środki wyzyskiwania jednych ludzi przez drugich. Prawo własności na ziemi, które rzekomo jest koniecznem dla rozwoju rolnictwa, które rolnikom ma zapewniać spokojne używanie ziemi, jest w rzeczywistości tylko środkiem do tego, aby niewielu możnych mogło posiadać ziemię do uprawy zdatną, którą muszą uprawiać ludzie, niemający do niej prawa. Bo to prawo własności na ziemi, jak to stwierdza historya, uświęciło jedynie sankcyą swoją stosunki faktyczne, jakie powstały z podboju, t. j. z ujarzmienia słabszych przez mocniejszych, które dało początek indywidualnemu posiadaniu ziemi. Nielepiej ma się rzecz z prawem opłaty danin (podatków). Niegdyś nakładali je zdobywcy na ujarzmionych dla własnej korzyści. I dziś w gruncie rzeczy dzieje się tak samo, tylko w nieco innej formie, gdyż daniny, głównie dla korzyści własnej, nakładają ci, co mają władzę na tych, co są zależni od nich. Daniny te bowiem obraca się w najznaczniejszej części na wytwarzanie dóbr, które służą jedynie potrzebom klas uprzywilejowanych. Tu należą np. wydatki na utrzymanie armii, kleru, więzień, dworów panujących itd. Tylko bardzo mała

część ich zużywa się na dobra, służące całemu ogółowi, i w tem tylko leży właściwie nieznaczna różnica między czasami dawniejszymi a dzisiejszymi.

Wreszcie prawo własności na ruchomościach służy tylko na to, aby ci, którzy podstępem lub oszustwem wydarli dobra, należące się innym, mogli utwierdzić się w ich posiadaniu. Naprzód np. zręczny oszust buduje fabrykę, na którą zebrał fundusz oszukiwaniem i wyzyskiwaniem robotników, a następnie prawo ogłasza tę fabrykę za świętą i nietykalną własność robotnika. Podobnie tysiące pudów [1]) zboża przechodzi drogą lichwy do rąk lichwiarzy, którzy zabierają je rolnikowi jako swoją świętą i nietykalną własność. Zboże zaś, zasiane na roli przez rolnika, jest najczęściej własnością innego, którego przodkowie wydarli rolnikom tę ziemię podczas zbrojnego napadu.

Tak więc niewolnictwo dni dzisiejszych jest skutkiem tych trzech praw, i dlatego wszelkie usiłowania reformatorów, chcących wykorzenić zło, kierują się przeciw tym prawom. Ale wszystkie te usiłowania muszą niestety pozostać bez skutku.

Jeżeli bowiem uchyli się jedno z tych praw, to pozostaną zawsze jeszcze dwa inne, a z nimi — niewolnictwo. Gdyby zaś zniesione wszystkie trzy szkodliwe prawa, to ustawy, któreby musiały wstąpić na ich miejsce, stworzyby nową formę niewolnictwa. Pierwsze zarysy tej nowej formy niewolnictwa daje się już rozpoznać dzisiaj jako ograniczanie wolności robotnika przepisami o ograniczeniu godzin pracy, wieku pracy, o przymusie szkolnym, zabezpieczeniu przymusowem na wypadek choroby, kalectwa i starości, o nadzorze nad fabrykami itd. Najkrócej wyrażając się: w społeczeństwie bez tych trzech praw musianoby ustanowić znów prawa o przymusie do pracy.

Wiara więc, iż błędy dzisiejszego systemu dałyby się naprawić reformą ustaw, jest wprost złudzeniem. Ustawy nie dadzą się naprawić. Jak długo one istnieją, istnieć będzie niewolnictwo, bo prawo w każdej formie musi je wywołać. Skąd to pochodzi?

Oto stąd, iż prawo nie jest jak głosi nauka, w służbie warstw panujących stojąca, wyrazem woli ogółu. Przeciwnie: prawo jest zbiorem przepisów, które wydają ludzie, rozporządzający zorganizowaną władzą, dla innych ludzi im podległych po to, aby ci podlegli pod gro-

---

[1]) Pud waga rosyjska.

zą razów, pozbawieni wolności, a nawet śmierci czynili to, czeg chcą ich władcy.

Ale jeżeli tak jest, wtedy właściwem źródłem niewolnictwa nie jest już prawo, lecz są niem czynniki, które tworzą prawo. ustawy. Są więc nimi rządy czyli systemy zorganizowanej władzy państwowej. Kto zatem chce znieść rzeczywiście i radykalnie niewolnictwo, ten musi obalić rządy w jakiejkolwiek by one były formie, czy to despotyczne, czy konstytucyjne, czy nawet republikańskie. Wszelka forma państwa, jako organizacya społeczna, oparta na przymusie, wykonywanym przez zorganizowaną mniejszość, musi runąć, jeśli niewolnictwo ma zniknąć. Taki rezultat zastanowień się nad przyczynami niewolnictwa może jednak przestraszyć bardzo wielu. nawet takich. którzy nie sprzyjają rządom i krytykują ich postępowanie. Bo jesteśmy już — niestety — tak przyzwyczajeni do tego, aby nami rządzono, iż w pierwszej chwili, gdy usłyszymy propozycyę obalenia rządów, wyobrażamy sobie, że gdyby rządy i państwa runęły, nastąpiłby chaos nie do opisania w społeczeństwach ludzkich. A jednak jest to nieprawda! Patrzmy na te setki zawodowych organizacyi robotniczych. na te niezliczone stowarzyszenia dla różnych celów społecznych! Jak dobrze pracują one dla celów społecznych, jak świetnie spełniają swe zadania bez najmniejszego mięszania się władzy! Ludzie jako istoty rozumne, t. j. przystępne działaniu ideałów, mogą utworzyć organizacyę dobrowolną. któraby była w stanie zdobyć środki, potrzebne na cele wspólne, i wykonywać sprawiedliwość stokroć lepiej niż czynią to państwa. W takiej organizacyi nie potrzebaby takiej indywidualnej własności na ziemi, bo nikt nie pragnąłby zabierać jej więcej innym, niżby mu było rzeczywiście potrzebnem dla potrzeb jego i jego rodziny. Natomiast mógłby każdy bez przeszkody wziąć sobie tę potrzebną mu rzeczywiście cząstkę ziemi, bo starczyłoby jej dla wszystkich. Wszak tak żyją do dziś dnia całe ludy na kuli ziemskiej, Tak np. żyją Kozacy uralscy, a przecież panuje u nich porządek i zgoda. Rządu, wojska, sądów potrzeba tam, gdzie jeden posiada 10 tysięcy dziesięcin lasu. a drugi nie ma opału dla swej chaty. Ale wątpić należy, czy znalazłby się człowiek, który zabrałby rolnikowi, żyjącemu rzeczywiście z pracy rąk, krowę. która żywi jego dziecko, kosę, która kosi siano. — sierp. którym żnie zboże.

Lecz gdyby się nawet znalazł taki prawdziwy zbrodniarz w idealnem społeczeństwie ludzkiem. to rozbudziłby takie obu-

rzenie ogółu na siebie, że z pewnością odechciałoby mu się popełnić czyn taki powtórnie.

A więc ludzie, jeśli są rzeczywiście istotami rozumnemi, tj. zdolnemi poznać i umiłować ideał, mogliby istnieć bez rządu. A ponieważ zaś niemożna przypuścić, aby byli pozbawionymi władzy rozumu, mogą tedy istnieć bez rządu, jeśli tylko zechcą tego rzeczywiście.

Przypuściwszy, że ludzie zapragnęliby rzeczywiście dojścia do tego stanu idealnego, jaką drogą mieliby zdążać ku niemu?

Reformatorowie, walczący przeciw rządom proponują do tego zwykle drogę rewolucyi, a więc także gwałtu przeciw przemocy. Ale gwałt może tylko gwałt zrodzić nowy. Inną jest ku temu droga, a mianowicie zniszczenia środków, które władcom służą do utrzymania ich władzy. Środki te znamy wszyscy dobrze. Są nimi wojsko i urzędnicy t. j. najemni siepacze, którzy za żołd i honory zaprzedali się władzom na usługi, zobowiązali się gnębić poddanych, zmuszać ich do wykonania woli władców. Tu należy zaliczyć także kościół, stojący w służbie władców. A wreszcie środkami tymi są podatki, z których rząd czerpie pieniądze, potrzebne na utrzymanie tamtych środków tyranii.

Te środki więc trzeba wydrzeć z rąk władcom, a drogą do tego jedynie pewną jest b i e r n y o p ó r, t. j. wzbranianie się czynienia złego, niezadając nikomu nowego złego. A więc kto chce zniszczyć niewolnictwo, ten powinien wzbraniać się pełnić służbę wojskową, urzędniczą, pełnić funkcye posła do parlamentu. Dalej powinien wzbraniać się płacenia podatków rządowi, a także nieprzyjmywać żadnych pieniędzy, z podatków zebranych, jak pensyi, — nie używać instytucyi państwowych, za pieniądze z podatków założonych. Wreszcie żaden człowiek nie powinien uciekać się do opieki państwa nad swoją własnością, i aby uniknąć tej potrzeby, powinien nabywać dla siebie tylko te ziemie, te dobra, do których nie roszczą sobie pretensyi inni.

Bezwzględne przeprowadzenie tych zasad w praktyce wymagałoby, rzecz naturalna, olbrzymich ofiar ze strony jednostki. Bo narażałoby ją na kary, więzienie, prześladowania ze strony władców. Nie każdy może mieć siłę moralną dla zniesienia tych prześladowań. Dlatego można i trzeba nawet poczynić pewne koncesye dla słabości woli poszczególnych ludzi, — koncesye, któreby umożliwiały jednostkom spełnienie ich idealnego żądania, a nie narażały ich na nadzwyczajne wielkie cierpienia z tego powodu. Nie każdy człowiek miałby dość siły oprzeć się przymusowej

służbie wojskowej. Ale każdy człowiek może zaniechać dobrowolnego wstępowania do służby wojskowej lub rządowej, cywilnej i przenieść nad taką służbę, służbę prywatną. Nie każdy człowiek może znaleść w sobie siłę zrezygnowania z własności ziemskiej, posiadanej już przez siebie. Ale każdy może ją dobrowolnie ograniczyć do pewnego zakresu i nie niszczyć jej dalej. Niekiedy może zrzec się całkiem pensyi, pobieranej od rządu, ale każdy może zgodzić się na zajmowanie przez całe życie niższego stanowiska w służbie rządowej i pobierania mniejszej pensyi, aby wyrządzać mniej złego, które służbą rządową się wyrządza, a które jest tem większe, im wyższe jest stanowisko urzędowe i t. d.

II.

Taką jest treść ostatniej etyczno-społecznej pracy Lwa Nikołajewicza Tołstoja, zatytułowanej w oryginale rosyjskim „Rabstwo“ (Niewolnictwo), a noszącej w przekładzie niemieckim, którym posługiwałem się przy niniejszej pracy, tytuł: „Die Sklaverei unserer Zeit“ [1]).

Możnaby ją nazwać testamentem społecznym Tołstoja, streścił w niej bowiem wszelkie poglądy socyologicznej natury, już w innych jego dziełach zawarte, ubierając je tylko w nową, niezwykłym ogniem i siłą przesiąkniętą formę.

Treścią tej pracy jest, jak widzieliśmy, najważniejrzy problem dni dzisiejszych t. j. kwestya socyalna. Kwestya sycyalna jest kwestyą udoskonalenia dzisiejszego systemu społecznego, osunięcia jego wad według norm, dyktowanych przez ideały etyczno-społeczne, zbliżenia tego stanu społecznego do wymóg idealnych. Każdy więc, kto się nią zajmuje, musi przedewszystkiem krytycznie rozebrać dzisiejszy stan społeczny, następnie wykazać jego braki i określić naturę tych braków, wynaleść źródła ich, a wreszcie wskazać środki reformy. Czyni to więc i Tołstoj. Analizując braki dzisiejszego systemu społecznego, nie wygłasza właściwie żadnych oryginalnych poglądów. Zbytni podział pracy, zabijający indywidualność robotnika fabrycznego, — przymus zajmowania się pracą, nie dającej zadowolenia, a często wprost wstrętną nietylko u robotnika, lecz i sługi, — niezdrowe i niekorzystne dla

[1]) Tłómaczenie L. A. Hauffa, nakład Ottona Janke w Berlinie.

obyczajności warunki życia warstw robotniczych. ich wielka zawisłość od maszyn i od pracodawców, są faktami ogólnie znanymi i niejednokrotnie już podnoszonymi przez krytyków dzisiejszej organizacyi społecznej.

Charakterystycznem jest tylko dla Tołstoja silne podkreślanie momentu etycznego w tej krytyce dzisiejszych społeczeństw. Za główne zło uważa on ograniczenie wolności indywidualnej robotnika i narażenie go na zepsucie obyczajów. Prócz tego akcentuje on jeszcze silnie oderwanie od naturalnych warunków życia, za które uważa życie na roli. Moment zadowolenia estetycznej natury ze stworzenia dzieła pracy, stanowiącego dla siebie całość, w której twórca może wlać indywidualność swoją, tak silnie akcentowany np. u Ruskina, u Tołstoja niknie niemal zupełnie.

Błędnem natomiast choć oryginalnem jest określenie natury dzisiejszego systemu społecznego. W tym kierunku sądzi bowiem Tołstoj, iż dzisiejsze społeczeństwo zbudowane jest tak samo jak dawniejsze na systemie niewolnictwa, które powoduje opłakany stan warstw robotniczych i sług. Niewolnictwo to ma być tylko formą różne od starożytnej niewoli lub średniowiecznego poddaństwa, treścią zaś niema się różnić wcale od tamtych.

Taki pogląd dowodzi zupełnej nieznajomości socyologii, zupełnej niejasności pojęć etyczno-społecznych, odnoszących się do kwestyi wzajemnego stosunku warstw społecznych do siebie w różnych epokach dziejów. W epoce starożytnego niewolnictwa bowiem część wielka ludzi nie jest wprost uważaną za ludzi, lecz za rzeczy, podobnie jak bydło robocze. Miernik etyczno-społeczny, przykładany do człowieka, nie ma zastosowania do niewolnika. Do niewolnika nie stosuje się pojęcie człowieka. Skutkien tego właściciel jest panem życia i śmierci niewolnika, z tytułu prawa prywatnego, tak jak każdego innego bydlęcia roboczego. Może on używać niewolnika zupełnie według swego swobodnego uznania dla swych celów i zniszczyć go t. j. zabić, jeśli mu się tak podoba [1]. Niewolnik nie ma nawet prawa bronić się przeciw temu, każda próba obrony byłaby zbrodnią. Stan rzeczy zmienia się już bardzo w czasach cesarstwa rzymskiego, zasadnicza zaś zmiana następuje w epoce poddaństwa średniowiecznego. Jednostka poddana nie jest

[1]) Biorę tu pod uwagę niewolnictwo w najnowszej znamiennej jego formie u ludzi starożytnych.

tu już rzeczą, lecz człowiekiem; ale mniejszej wartości niż wolny (minderwertig). Przyznaną więc jest już poddanemu godność ludzka, acz w stopniu mniejszym, niż u wolnego. W niektórych jednak kierunkach miernik wartości jest już ten sam dla poddanego co dla jego pana. Mam tu mianowicie na myśli stosunek człowieka do czynników poza ziemskich. W tym względzie t. j. wobec Boga pan i poddany są równi. To przeobrażenie pojęć etyczno-społecznych pociąga za sobą odpowiedne różnice w praktyce życia społecznego. Nawet tam, gdzie poddaństwo przybiera najsurowszą formę, pan poddanego wyrokuje o jego życiu nie jako jego właściciel prywatny, lecz jako jego sędzia, a więc reprezentant władzy publicznej, choć pomieszanej z prawem prywatnem, bo zależnej od posiadania większej własności ziemskiej. Poddany ma przytem już rozliczne uprawnienia, na jego korzyść wyłącznie wychodzące i może z nich swobodnie korzystać, byleby tylko dopełnił swych zobowiązań wobec pana. Może nawet prawnie bronić się przeciw niesłusznym żądaniom swego pana i jedynie nadużycie władzy ze strony pana może uczynić tę obronę iluzoryczną.

Zupełnie zaś już odmiennem jest stanowisko dzisiejsze robotnika wobec pracodawcy. Z etyczno-społecznego bowiem punktu widzenia robotnik jako jednostka ludzka jest istotą zupełnie równorzędną i równowartą z pracodawcą, której przysługuje zupełnie ta sama godność ludzka co pracodawcy. Tem samem może on i powinien nietylko mieć w zasadzie równe prawo publiczne i prywatne z pracodawcą, nietylko powinien on mieć możność dochodzenia swych słusznych praw przeciw pracodawcy, lecz co najważniejsza, jako istota wolna, ma on zupełne prawo dążyć środkami etycznie dozwolonymi do polepszenia swego stanowiska społecznego wogóle, a więc także swego stanowiska wobec pracodawcy. Takie prawo zaś nie służyło nigdy ani niewolnikowi ani poddanemu. W praktyce życia społecznego ma więc robotnik i mieć powinien prawo żądania specyalnej ochrony prawnopaństwowej przed faktycznymi stosunkami, które dają pracodawcy możność uszczuplenia słusznych praw robotnika drogą nadużyć. Brak bowiem kapitału i połączona z tem konieczność szukania pracy zmusza najczęściej robotnika do dobrowolnej rezygnacyi z wielu praw wobec pracodawcy, czyni jego położenie przy zawieraniu umowy o pracę znacznie gorszem niż kapitalisty. Tak więc identyfikacya dzisiejszego robotnika lub sługi z niewolnikiem

lub poddanym czasów dawniejszych, której znajdujemy u Tołstoja, okazuje się zupełnie bezpodstawną.

Zastanawiając się nad przyczynami zawisłości robotnika od pracodawcy i opłakaną w wielu kierunkach dolą warstw roboczych, czyli rzekomego „niewolnictwa dzisiejszego“. Tołstoj odrzuca, jak widzieliśmy, poglądy nauki, wskazujące na kapitalizm i indywidualność jako źródła złego i uważa te poglądy nauki za tendencyjnie wymyślane dla usprawiedliwienia wad panującej organizacyi społecznej i odwrócenia od nich uwagi ludzi dobrej woli. Tego rodzaju mniemanie o wartości nauki jest wprost niegodne człowieka wyższego i posiadającego bądź co bądź wielki zasób wykształcenia jak Tołstoj. Co prawda, Tołstoj zdradza na każdym kroku brak gruntownej wiedzy, ale ma znów jej do tyla, aby módz przy dobrej woli ocenić stanowisko, jakie zajmywała i zajmuje zawsze nauka w dzisiejszym rozwoju ludzkości wobec celów i dążeń człowieka.

Bo nauka dążyła zawsze i dąży w zakresie poznania teoretycznego, jedynie do p r a w d y, a w zakresie poznania praktycznego do i d e a ł u. Niezbacza ona nigdy z tej drogi, jak gwiazda promienna znacząca ścieżki do wrót zbawienia ludzkości. Świadczą o tem dzieje wielkich przewrotów społecznych, walk o najświętsze prawa ludzkości, które inaugurowała zawsza nauka, i które nieraz krwią swoją znaczyli w pamięci ludzkiej mężowie nauki. I dzisiaj nauka prawdziwa całą siłą pracuje dla przekształcenia dzisiejszej organizacyi społecznej w myśl i d e a ł ó w e t y c z n o - s p o ł e c z n y c h.

W miejsce poglądów naukowych Lew Tołstoj stawia oryginalne własne tłumaczenie przyczyn „niewolnictwa społecznego“, które — niestety — jest równie błędne, jako pojęcie tego „niewolnictwa“. Źródłem wad dzisiejszej organizacyi społecznej mają być dzisiejsze prawa, zamknięte w formy ustaw. Bo każdoczesny stan społeczny jest wynikiem ustawodawstwa, istniejącego w danej epoce. Już to zapatrywanie jest z gruntu błędne, gdyż stany społeczne nie są wynikiem jedynie dowolnego zupełnie ustawodawstwa, zbudowanego według swobodnych zachcianek ludzi, dzierżących prawodawstwo w swem ręku, lecz są wynikiem stosunków faktycznych, panujących w danej epoce i norm, stworzonych przez wolę ludzką, kierowaną jednak pewnemi stałemi zasadami. Ale o wiele jeszcze błędniejszem i fatalniejszem w swych skutkach jest zapatrywanie Tołstoja na naturę praw. Jak widzieliśmy bowiem, uważa je Tołstoj za czynnik wprost nieetyczny

i niezdolny do przyjęcia w siebie pierwiastów etycznych. Prawo bowiem według Tołstoja jest tylko środkiem wyzyskiwania sił i pracy większości ludzi przez mniejszość, rozporządzającą zorganizowaną władzą.

Spotykamy się tu z poglądem socyologicznym, mimowolnie przypominającym dawne w socyologii zapatrywanie Gumplowicza i historyków cywilizacyi, wyprowadzających dzieje ludzkiego rozwoju z ślepej walki o byt.

Tymczasem w rzeczywistości prawo jest czynnikiem zupełnie innej natury. Normy prawne są właśnie wynikiem usiłowań ludzi współżyjących z sobą do pogodzenia egoistycznych i altruistycznych dążeń w każdej epoce w taki sposób, aby całość społeczeńska i jej funkcye mogły się utrzymać i rozwijać pomimo partykularystycznych prądów. Ten cel, do którego zmierza prawo, naznacza mu wola ludzka, kierowana zasadami etycznemi. A ponieważ etyczne zasady mają wobec woli ludzkiej moc imperatywną, przeto też normy prawne — w normalnem t. j. nie chorem społeczeństwie — muszą zawsze dążyć w kierunku wyż oznaczonym i z biegiem czasu przechylać coraz bardziej szalę zwycięstwa na stronę interesów ogółu w przeciwieństwie do interesów jednostek i ściślejszych kół społecznych.

Jakkolwiek w początkach swych prawo nosi na sobie zwykle jeszcze bardzo silne piętno egoistycznych lub klasowych dążeń, pomięszanych z interesami ogółu, to jednak w miarę postępu czasu staje się ono coraz etyczniejszem. Tem samem zaś stanowi ono obok religii i obyczaju najpotężniejszy środek reformy społecznej. Z faktu, iż prawo w porannej dobie swego istnienia ulega wpływowi egoizmu jednostkowego i grupowego, nie wolno wyciągać wniosku, jak to czyni Tołstoj — iż jest ono nieprzystępnem dla etycznych postulatów. Reformy społeczne, drogą prawodawstwa dokonywujące się, nie mają dla Tołstoja żadnej wartości, nie mogą prowadzić do żadnego celu. Inna ma wieść ku temu droga, którą on sam wskazuje ludzkości. Jak przedstawia się ona?

Radykalne lekarstwo na dzisiejsze zło społeczne leży według Tołstoja w tem, aby ludzie wiedzeni światłem rozumu, czyli intuicyjnem przeczuciem ideału, poznali, w czem leży ich prawdziwe szczęście i dobrowolnie zdecydowali się sięgnąć po to szczęście, przechodząc z własnej woli do stanu społecznego, zasadniczo odmiennego od dzisiejszego, który musiałby im dać to szczęście.

Stanem takim byłby stan społeczny, w którym wszyscy ludzie żyliby na roli jako wieśniacy, z pracy rąk swoich.

bez niezdrowych potrzeb cywilizacyi t. j. tych, które zaspokoić można tylko niewolniczą pracą ludzką, a w dodatku bez systemu indywidualnej własności na ziemi.

W takim stanie rzeczy wszyscy ludzie musieliby być szczęśliwymi, bo każdy byłby wolnym i pracowałby dla siebie tylko, przytem jednak każdy mógłby zachować czystość obyczajów, cnoty miłości, pokoju i wstrzemięźliwości. Obywatele takiego idealnego państwa współdziałaliby jednak także dla swoich wspólnych interesów i to bez żadnego przymusu, bo jako słuchający tylko najwyższych praw etycznych, rozkazów ideału, musieliby słuchać także najwyższego prawa etycznego, które Tołstoj szczególnie silnie podkreśla w innych dziełach swoich, prawa miłości bliźniego, które nakazuje człowiekowi działać dla drugich. Byłaby to więc organizacya społeczna wzorowa a mimoto nie oparta na przymusie prawnym, ani na umowie, w rozumieniu dawnych indywidualistów, oglądająca się na interesa egoistyczne, lecz na działaniu z pobudek wyłącznie idealnych.

Stoimy tu przedewszystkiem wobec jednej trudności, która odrazu obala całą utopię społeczną Tołstoja. Mianowicie, aby społeczeństwo jego idealne powstać i istnieć mogło, musieliby wszyscy ludzie być idealistami w ścisłem tego słowa znaczeniu, t. j. musieliby się wyłącznie kierować najwyższem prawem etycznem, mieć na oku ustawicznie najwyższy cel etyczny i tylko dla jego ziszczenia działać.

Takie społeczeństwo jest wprost niemożliwem dla ułomności natury ludzkiej. Ta ułomność jest właśnie przyczyną, że prawdopodobnie nigdy nie zniknie z pośród ludzkości zupełnie organizacya przymusowa społeczna, jakkolwiek jej zakres niewątpliwie zmniejszy się bardzo z czasem. Zawsze jednak dla ludzi złej albo słabej woli będzie musiał istnieć przymus społeczny, zniewalający ich do ograniczania ich egoistycznych zapędów.

Powtóre utopia Tołstoja ma drugą niesłychanie słabą stronę. Suponuje ona bowiem, iż ogół ludzi mógłby znaleść zadowolenie w jednem tylko sposobie życia, t. j. w życiu wieśniaczem na roli. To znaczy, iż Tołstoj stawia szablon ogólny dla szczęścia ludzkiego.

Niezaprzeczenie etyka perfekcyonistyczna t. j. stawiająca za cel doskonały stan społeczeństwa ludzkiego nie może oglądać się

na czysto indywidualne zachcianki ludzkie, od których poszczególne jednostki czynią zawisłem swoje szczęście. W ten bowiem sposób nie możnaby nigdy dojść do skonkretowania najwyższego celu etycznego. Ale z drugiej strony musi ona tak określać treść tego doskonałego stanu, aby uwzględniał on wszelkie dążenia i pragnienia, które wypływają z ogólno-ludzkiej natury, w danej epoce istniejącej. Tylko bowiem wtedy ideał etyczny będzie mógł zapewnić zaspokojenie wszelkich pragnień ludzkich, dopuszczalnych w granicach etyki, i tylko wtedy będzie on mógł stać się ideałem życia indywidualnego pojedynczych ludzi a w ten sposób się urzeczywistniać.

Ideał etyczno-społeczny Tołstoja nie czyni jednak temu wymaganiu zadość. Każe on się bowiem zadawalać ludziom tylko pracą koło roli i estytycznem podziwianiem natury, pomijając cały szereg pragnień ogólno-ludzkich, istniejących już dziś, które wcale nie sprzeciwiają się etyce, jak pragnienie sztuki, wiedzy, uszlachetnienia obyczaju i form życia i t. d. Jakim prawem twierdzić może Tołstoj, iż każdy człowiek musiałby mieć zamiłowanie do pracy na roli jako wieśniak?

A gdyby znaleźli się ludzie idealiści także, ale pragnący czegoś więcej, co nie uznawałoby zasady troski o dobro bliźniego, a dla nich było koniecznym wymogiem zadowolenia wewnętrznego, cóż wtedy stać by się miało z członkiem tego rodzaju w państwie idealnem Tołstoja. Czyż nietrzebaby przymusu, aby znaglić takiego człowieka do pracy około roli. A w takim razie z państwem idealnem Tołstoja stałoby się to samo, co z utopiami socyalistycznemi, gdy się chce je urzeczywistnić, tj. musiałoby ono upaść albo oprzeć się na przymusie. Z przymusem jednak wróciłoby to, dla zniszczenia czego Tołstoj chce cały świat dzisiejszy zburzyć — wróciłoby... niewolnictwo.

Ale przypuściwszy nawet, że chwilowo społeczeństwa ludzkie opanowaneby zostały tak silnymi porywami idealizmu, iż ludzie zgodziliby się dobrowolnie na przejście do systemu społecznego Tołstoja. Czy mógłby on w takim razie być trwałym? Należy wątpić o tem. Wysokie cnoty, najwyższe etyczne własności ludzkiej natury, miłość pokoju, miłość bliźniego, czystość obyczaju mogłyby na razie otrzymywać się w tem społeczeństwie, jak długo istnieliby w niem ludzie, pamiętający z własnego doświadczania lub z tradycyi jeszcze żywej wielką cywilizacyę świata, która te cnoty wydała. Lecz w miarę oddalania się od punktu

wyjścia tego społeczeństwa, — w miarę jak ci ludzie nowi, skazani na surową walkę z naturą, chcieliby pod wpływem tej walki, pozbawieni środków zwalczania potęgi natury, jakie daje cywilizacya, musiałyby w nich cnoty te zanikać, a na ich miejsce pojawiać się dzikie popędy natury, razem z prymitywnym poglądem materyalno-religijnym, w któryby prędzej czy później znów popaść musieli, a w którym niema miejsca dla cnót chrześciańskich.

Zauważyć należy nawiasem, iż Tołstoj, nie znający dokładnie ustroju społecznego cywilizowanej Europy, nie rozumie jasno różnicy, zachodzącej między jego utopijną organizacyą społeczną a organizacyami społecznemi Europy, opartemi na samorządzie, i wskazuje na te samorządne ciała, jako na praktyczne przykłady, że jego utopijne społeczeństwo może istnieć. Tymczasem między oboma rodzajami organizacyi istnieje zasadnicza różnica. W utopii Tołstoja organizacya społeczna przedstawia się jako spółdziałanie ludzkie nie obmyślone z góry, nieujęte w żadne normy, powstające niejako samo z siebie, jako naturalny skutek kierowania się ludzi najwyższą zasadą etyczną wzajemnej miłości i wzajemnego wspierania się. Byłby to porządek społeczny, nie mający żadnej określonej formy, nie strzeżony przez nikogo. Zupełnie inaczej jest w organizacyach samorządnych, które nadto uznają zasadę przymusu społecznego w obrębie organizacyi, a tylko tem się różnią od organizacyi państwowych i innych społecznych, nie mających samorządu, iż jednostka w nich jest zarazem rządzącą i rządzoną.

Co prawda ta etyczna natura ludzi z utopii Tołstoja niełatwo dałaby się pogodzić z warunkami, w którychby żyli. Mieliby to bowiem, jak wiemy, być sami drobni rolnicy i co najwięcej rzemieślnicy, a te właśnie zasady pozwalają człowiekowi stosunkowo jeszcze najbardziej izolować się od innych, zaopatrywać samemu własne potrzeby, nastręczają mało sposobności do kontaktu z innymi, a tem samem mogą rozwijać popędy raczej egoistyczne niż altruistyczne. Jesto jedna z wielkich niekonsekwencyi Tołstoja, do której wrócę jeszcze, omawiając jego indywidualności. Pozostaje mi jeszcze rozebrać krytycznie wartość etyczną środka, który Tołstoj proponuje dla dojścia do jego idealnej utopii społecznej. Środkiem tym jest, jak wiemy, bierny opór przeciw istniejącemu dzisiaj porządkowi rzeczy; że Tołstoj tylko taki środek uznaje za dopuszczalny, to wynika z jego błędnego

pojmowania zasady nauki Chrystusa, iż zła złem odpłacać nie należy. Ponieważ zaś Tołstoj za zło uważa każdy przymus, każde naginanie człowieka do życia według tej lub owej zasady, przeto sądzi, iż zwolennicy idealnej utopii nie mogą ani karcić złych stron dzisiejszego społeczeństwa, ani walczyć przeciw nim czynnie, bo to byłoby wywieraniem przymusu moralnego lub wprost gwałtu na innych ludzi, lecz mogą tylko uchyleniem się od brania udziału w złych stronach dzisiejszego życia społecznego sprowadzić jego przemianę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Poznanie i kształcenie charakteru.

WSTĘP.

I.

Podziwiana przez wszystkich wielkość i potęga przyrody nie na wielkich utworach jej polega, ale na tem się zasadza, że przyroda małymi i prostymi zazwyczaj środkami do olbrzymich nieraz dochodzi rezultatów.

Wielkie rzeki z małych powstają źródełek, a niebotyczne góry z drobnych i zaledwie dostrzegalnych tworzą się kamyczków.

Podobne zjawisko obserwujemy w dziedzinie ducha. Do osiągnięcia najznakomitszego i najwyższego bezsprzecznie płodu ducha ludzkiego, czyli od wytworzenia silnego i szlachetnego charakteru, najprostsze i najpowszedniejsze wystarczają środki. Nie masz bowiem nic pospolitszego nad to, z czego najwznioślejsze nawet tworzą się charaktery.

W jaki bo sposób powstaje, rozwija i kształci się charakter człowieka? Ulega on tym samym przyrodzonym prawom, co ręka lub głowa nasza; kształci się przez pracę, potęguje się przez walkę i łamanie przeciwności. Jak ręka lub stopa nasza utraciłaby prędko swą siłę, gdybyśmy nie ćwiczyli i nie używali jej ustawicznie, tak charakter człowieka ani rozwinąć, ani spotęgować się nie może bez walki i trudów codziennych. Na pytanie bowiem, czy charakter jest czemś wrodzonem, czy też nabytem w ciągu życia, odpowiadamy, że o ile przez charakter rozumiemy pewne indywidualne właściwości serca, woli i sumienia, któremi różnimy

się między sobą jak kolorem włosów lub oczów, o tyle jest on czemś wrodzonem: o ile zaś przez to słowo pojmujemy wytrwałą i wyrobioną wolę człowieka, o tyle charakter jest wynikiem pracy i walki życiowej.

A więc praca i walka — oto środki do rozwijania i kształcenia charakteru.

Wystarczy nazwać je po imieniu, aby przekonać się tem samem, że należą one do rzeczy najpospolitszych i najpowszechniejszych zarazem na świecie.

Cóż bowiem pospolitszego na świecie nad walkę i pracę?... Wszak to nierozłączne towarzyszki życia naszego, składowe niemal jego pierwiastki.

A najprzód walka. Już Job cierpliwy wyrzekł przed laty, że bojowaniem jest życie człowieka na świecie, a praktyka codzienna aż nadto, niestety, stwierdza nam tę zasadę.

Od kolebki, aż do grobu borykać się musimy z losem i nie masz dnia, godziny jednej nie masz w życiu człowieka, którąby wolną była, jeżeli nie od moralnej, to od czysto fizycznej walki o byt i życie. Pominąwszy bowiem, że każdy niemal walczyć dziś musi ciężko o kawałek chleba, i tak jeszcze wszyscy przecież stoimy ciągle pod pręgierzem prawa, pod grozą obowiązków i powinności naszych, wobec głosu sumienia i natchnień z góry... Wszak każden z nas ma w życiu jakieś zadanie, od spełnienia którego zależy spokój i szczęście jego na świecie.

Aby temu zadośćuczynić, walczyć musimy ciągle z pychą i egoizmem naszym z chciwością i pożądliwością, z lenistwem i namiętnościami, które jak dzikie zwierzęta uderzają co chwila na nas, starając się opanować naszą wolność i podbić nas w niewolę złego. Chwilowy nawet wypoczynek w tej walce naraża nas na przegraną i grozi nam moralną, a nawet intelektualną klęską.

Nawet gdy kto z nas we śnie szuka wypoczynku i sił nowych do walki, w organizmie jego i wtedy jeszcze odbywa się walka, innej wprawdzie natury, bo walka fizyologiczna, ale nie mniej ważna i konieczna dla życia. Niszczące i wyczerpujące organizm nasz żywioły, które otaczają nas w koło, i wtedy jeszcze uderzają zewsząd, zmuszając organizm nasz do walki bezwiednej ze zniszczeniem i nicestwem.

Życie całe nasze jest tylko jedną, długą, ciągłą walką ze śmiercią, walką tem konieczniejszą, że z chwilą gdy przestajemy walczyć, przestajemy żyć zarazem...

Cóż przeto pospolitszego na świecie nad walkę? A nie masz lepszego od niej środka do wyrobienia charakteru. Jedna tylko praca w porównanie z nią iść może pod tym względem.

Praca? Ależ jeżeli życie nazwaliśmy walką, to tem bardziej nazwać je musimy pracą.

Łamią sobie dotąd głowę filozofowie nad określeniem, czem jest życie, ale jeżeli zaniechamy subtelnych dociekań i spojrzymy na życie ze strony praktycznej, to zgodzić się musimy na to, że życie jest pewnym objawem pracy wewnętrznej, wynikającej z drobnych i nieuchwytnych wysiłków danego organizmu, lub komórki.

Żywą nazywamy istotę, która się sama porusza, ruch przeto z wewnątrz płynący, czyli praca, jest cechą istot żyjących na świecie. Weźmy dla przykładu porę roku, w której życie objawia się w całej pełni: spojrzyjmy na wiosnę lub lato. Co spostrzegamy tam charakterystycznego? Oto olbrzymią ilość pracy, którą ziemia w tym czasie w postaci ciepła otrzymuje od słońca i za pomocą której dokonywa cudownego niemal przeobrażenia, okrywając się kwiatem i owocem.

Dopóki praca ta nie ustanie, dopóty trwa życie na ziemi, z chwilą zaś, gdy ustaje praca, ustaje życie, a nastaje zima i sen w przyrodzie.

A zresztą w co — pytam — obróciłby się nasz ogród, gdybyśmy zaniechali pracy koło niego, nasz dom, gdybyśmy przestali codziennie robić tam porządek?

Czy rola nasza zakwitłaby sama zbożem i owocem, które podtrzymuje nasze życie, gdybyśmy przestali uprawiać ją starannie i należycie?...

A ciało nasze, czy innym podlega prawom? Ktoż zliczy ilość pracy, jaką w ciągu życia wydają nasze mięśnie i muszkuły, nasze ręce i nasze nogi, ba nawet to nasze serce, które pozornie zdaje się tak bezczynne?...

Praca, jaką w ciągu życia wykonywa serce jednego tylko człowieka, równa się sile lokomotywy, która zaprowadziłaby ze Lwowa do Wiednia wielki pociąg towarowy. Bagatela! A cóż dopiero mówić o władzach duszy, które więcej przecież pracują, niż organy ciała naszego. Najleniwszy nawet człowiek pracuje jeszcze umysłowo, bo się nudzi, bo włóczy się z kąta w kąt, myśląc o tem, jakby czas zabić i skrócić sobie nudy dnia całego.

Przeciętny człowiek pracuje od 6 do 8 godzin dziennie, wyższe zaś umysły pracują po 12 i więcej godzin na dobę.

Cóż to za obfite i bogate środki do kształcenia charakteru! Co za łatwość postępu, co za sposobność do rozwoju!... Natura sama tak nas uposażyła, że każden z nas naobficiej zaopatrzony jest w najważniejsze środki do wyrobienia i ukształcenia charakteru. Życie samo wychowuje nas na ludzi w najszczytniejszem tego słowa znaczeniu i wyrabia u nas hart i siłę ducha, byleśmy z niego chcieli korzystać. Cokolwiek bowiem powiedzą o tem sceptycy faktem jest, że człowiek może się ciągle doskonalić, że zawsze jeszcze może się poprawić i pomimo największych nawet przeszkód, ustawicznie postępować może naprzód na drodze do cnoty i światła. Idea podbić może i opanować materyę — oto zasadnicze prawo natury, którego obalić nie zdoła żaden niedowiarek!...

Należycie wykształcona i zahartowana wola nosi w sobie najwidoczniejsze cechy swej wyższości duchowej: nic ziemskiego złamać jej i zniewolić nie może. Nie pokona jej siła, nie złamie jej cierpienie, nie zniechęcą ją trudy, nie osłabią jej tortury, nie przekupi jej pieniądz, nie skrępują ją więzy, nie zgnębi jej nawet głód i ubóstwo, bo nad tem wszystkiem tryumf odnieść ona potrafi i niejedną z tych przeciwności na swoją korzyść obrócić jeszcze zdoła.

Do rozwoju i kształcenia swego wola nasza nie zna braku środków, gdyż z każdej rzeczy może ona skorzystać i ze wszystkiego wynieść potrafi pożytek. Nie ma stanowiska lub zajęcia, nie ma okoliczności ani zawodu, nie ma położenia lub zajęcia, w którem nie moglibyśmy uszlachetnić swej duszy i ukształcić swego charakteru... Wszystko tu jest dobre i wszystko pomocnem być może. Przy należytem napięciu wola nasza staje się niezwyciężoną i nad każdą przeciwnością tryumf odnieść potrafi.

Panuje ona nad przeszkodami, bo przez nie staje się silniejszą, panuje nad czasem, bo wiecznie jest czynną i nie zna, co wypoczynek, panuje nad jednostajnością i monotonnością zajęć, bo przez nie staje się systematyczną, panuje wreszcie nad ich różnorodnością, bo przez nie staje się wszechstronną, panuje nawet nad błędami naszymi, bo przez nie staje się ostrożniejszą i bardziej uważną.

Zaiste, jest coś nieziemskiego w tem wszystkiem... I słusznie, bo wola nasza to najszlachetniejszy objaw duszy ludzkiej, stworzonej na obraz i podobieństwo samego Stwórcy.

Obdarzony nią człowiek posiada w sobie jakoby zaród siły twórczej na wzór samego Boga. Jak On jest Stwórcą świata, tak każden z nas jest twórcą swego charakteru, za który sam przedewszystkiem odpowiada.

Jedno jego „Chcę“ wystarcza, aby popchnąć go do złego lub dobrego czynu, który powtarzany stale i systematycznie, zamienia go w anioła lub szatana.

Słowem tem budzi on duszę swą z uśpienia, słowem tem kształci ją i zbogaca, słowem tem umacnia ją i hartuje, krystalizując w sobie powoli charakter. Słowo to dźwignąć może z upadku nietylko jednostkę, ale i naród cały, bo jak mówi Krasiński:

„Żądza serc wielu może pod mogiłę
„Zstąpić jak Anioł — i anielską siłę
„Wlać w kość i popiół — nazad stworzyć naród;
„Bóg w wolę ludzi rzucił cudów zaród“.

(„Dzień dzisiejszy“).

II.

Jeżeli jednak nosimy w swem łonie ten twórczy niemal pierwiastek, wolną wolę, jeżeli tuż pod ręką znajdujemy nagromadzone obficie środki do jej kształcenia tak, że byleśmy tylko chcieli sięgnąć po te dary, jakie w ofierze niesie nam życie codzienne, charakter nasz sam skrystalizuje się i ustali zwolna jak ten kwiat lub muszla podwodna, — to dlaczegoż na świecie tak mało ludzi z charakterem?

Dlaczego tak powszechnie dziś narzekają na upadek i zanik charakterów w społeczeństwach europejskich?...

Czy może zarzut to niesłuszny, lub wyrok nieuzasadniony i przedwczesny? Bynajmniej. I zarzut jest słuszny i wyrok uzasadniony.

Pomimo całego tego olbrzymiego postępu technicznego w naszym wieku, pomimo tej aż nazbyt nieraz przechwalanej kultury europejskiej, ludziom dzisiejszym brak nieraz rzeczy najważniejszej, brak im charakteru, czyli należycie wyćwiczonej i wykształconej woli.

Przewyższając przodków naszych o całe niebo pod względem technicznym i zewnętrznym, niżej znacznie stoimy od nich pod względem prostoty, hartu i samodzielności ducha!

Ogół naszej inteligencyi choruje na brak woli — czyli na t. z. hamletyzm. Pełno dziś mamy geniuszów bez teki *à la* Płoszowski. Ludzie ci nie umieją wyzyskać należycie tkwiącej w nich potęgi ducha, nie umieją użyć swej woli. Przy połowie tej inteligencyi, jaką posiadają, cudów mogliby dokazać, gdyby chcieli...

Niestety, albo nie chcą, albo nie umieją wziąć się należycie do rzeczy. Jedni wcale nie używają swej woli, poddając się apatycznie okolicznościom i zachowując się biernie wobec przeciwności. Drudzy pragną niby walczyć ze swym losem, ale nie używają swej woli tak, jak wymaga tego rozum, jak nakazuje im własny ich interes. I ci przeto, po mniej lub więcej długiem szamotaniu się z przeciwnościami, ulegają temu samemu losowi, co pierwsi. I jedni i drudzy nie umieją chcieć należycie: oto źródło złego!

Samo bowiem niezrozumienie, czego przedewszystkiem chcieć i pragnąć należy, spowodować może katastrofę. Wydać się to może niejednemu paradoksem, a jednak pewną jest rzeczą, że zanim czegokolwiek pragnąć zaczniemy, trzeba najprzód nauczyć się chcieć, t. j. stać się poniekąd niezależnym w swych pragnieniach.

Ponieważ charakter jest rzeczą najważniejszą i najcenniejszą dla człowieka, przeto w pierwszym rzędzie winniśmy wszyscy pragnąć najprzód charakteru, a potem dopiero wolno nam żądać i dobijać się innych rzeczy na świecie.

Tak mówi nam sam rozum, tak postępować nakazuje własny nasz interes.

Ludzie dzisiejsi postępują jednak wręcz przeciwnie: najprzód pragną szczęścia, sławy, wiedzy, majątku, znaczenia, powagi, rozkoszy, a potem dopiero — na szarym końcu — pragnę mieć charakter...... w dodatku do tego wszystkiego.

Nasyciwszy się już wszystkiem po uszy, sięgają wreszcie po ten najdroższy i najświętszy zarazem skarb na świecie: pragną zdobyć charakter.

Czy nie jest to śmieszne i naiwne zarazem? Ludzie ci z góry już skazani są na przegraną pod względem charakteru, który zbyt mało cenią, aby mogli go zdobyć kiedykolwiek.

Pragnąc raczej sławy, majątku, znaczenia, karyery, wiedzy, roskoszy i szczęścia, niż charakteru, nie tylko nie posiądą oni nigdy należytego hartu i szlachetności charakteru, ale nie otrzymają ani sławy, ani znaczenia, ani szczęścia, ani powagi prawdziwej w świecie.

Za mało pragną!...

Zbyt niskie, zbyt poziome mają pragnienia: oto co zabija tych ludzi!..

Nie umiejąc pragnąć rzeczy wyższych i szlachetnych, stają się z czasem ofiarami najniższych i najbardziej plugawych pożądań.

Dusza nasza — jak słusznie zauważył Mickiewicz — musi być czemś poruszona — jeżeli nie poruszy jej idea, to poruszą ją wrażenia zmysłowe, a wtedy biada człowiekowi owemu.

Charakter jego topnieje wtedy jak wosk pod wpływem ognia. Przyczyną jedyną jest brak metody i umiejętnego stopniowania swych pragnień, o co dzisiaj nikt się nie troszczy i w czem jedynie nikt prawie nie żąda informacyi.

Lata całe poświęcamy nieraz najdziwaczniejszym nawet studyom, tylko o to, jak kształcić charakter, nikt się dziś nie pyta.

Idziemy w tem zresztą za duchem czasu. Umiejętność dzisiejsza wyłącznie niemal zasklepiła się w kształceniu rozumu, oraz w badaniu przyrody, której siły odkryć i wyzyskać stara się w pierwszym rzędzie. O kształceniu zaś woli, o uszlachetnianiu serca, o rozwijaniu i wzmacnianiu charakteru, o poskramianiu swych namiętności i panowaniu nad sobą zapomniano dziś niemal zupełnie.

A przecież sam rozum nie stanowi jeszcze człowieka. Rozum, wola i serce — to dopiero cały człowiek. Nie dość jest odkryć i opanować siły przyrody, ale potrzeba nadto ujarzmić i okiełznać swe żądze. Tymczasem w tym kierunku nauka dzisiejsza nic, albo nie wiele co robi. Wśród formalnej powodzi dzieł naukowych i literackich, jakie zalewają nas niemal z dniem każdym, brak nam najzwyklejszego podręcznika do kształcenia woli i serca!

Oto dlaczego wiek nasz, ujarzmiwszy siły przyrody, sam stał się niewolnikiem niskich i poziomych żądz, które pastwią się nad nim, jak owe sępy pastwiły się niegdyś nad Prometeuszem.

Kształcąc wyłącznie tylko rozum, a zaniedbując serce i wolę — pomimo całej naszej intellektualnej wyższości — pod względem charakteru niżej stanęliśmy od niejednego prostaczka, który nie wiele wprawdzie umie, ale silnie za to pożąda i wytrwale dąży do prawdy.

Dzięki Bogu wszyscy zwolna zaczynamy już odczuwać tę chorobę wieku naszego. Społeczeństwo coraz głośniej domaga się reformy szkół i zmiany dotychczasowego systemu domowego i publicznego wychowania. Wymaganiom tym autor odpowiedzieć pra-

gnie w niniejszej pracy, o ile naturalnie pozwolą mu na to siły i zdolności jego.

III.

W końcu słówko jeszcze o metodzie i zasadach autora.

Do upadku charakterów śród inteligencyi najbardziej przyczynił się bezsprzecznie racyonalizm i liberalizm ubiegłego stulecia. Zaufawszy zbytnio rozumowi, racyonalizm śmiać się począł najprzód z powagi, uważając ją za niańkę starą i nudną, któża dziś, wobec nadzwyczajnego postępu umiejętności i wiedzy, stała się co najmniej niepotrzebną, jeżeli już nie wprost szkodliwą zawadą. Jakoż pod wpływem tych poglądów strzępy tylko zostały już dziś z powagi, a i te jeszcze przechowują wyłącznie tylko t. z. zacofańcy i wstecznicy śród dzisiejszych społeczeństw.

Racyonalistom jednak nie dość było na tem. Usunąwszy tę pierwszą przeszkodę (jak mówili) postępu, wzięli się do drugiej, nie mniej niebezpiecznej w ich oczach, uderzyli na dogmat.

Wiadomo, że w zasadniczych kwestyach początku, końca i przeznaczenia człowieka, które tak wielki mają wpływ na charakter jego, nauka nic stanowczego powiedzieć nie może, pozostawiając wierze rozwiązanie tych kwestyi, jako jedynie kompetentnemu w tym względzie sędziemu.

Czem dla urobienia charakteru są tego rodzaju apodyktyczne twierdzenia wiary, niech powie nam sam H. Taine, koryfeusz francuskiego racyonalizmu.

„Każda teorya“ — mówi on — „wtedy dopiero nabiera siły czynnej, gdy się stanie ślepem przeświadczeniem. Ażeby przejść do rzędu czynników życia praktycznego, ażeby objąć rządy nad duszami ludzkiemi, ażeby przeistoczyć się w pobudkę do czynu, musi ona w umyśle ludzkim przejść w stan wierzenia, nałogu, skłonności, tradycyi rodzinnej, musi z wyżyn żywej, rozumującej inteligencyi zejść do tych głębin, gdzie spoczywają nieruchome podstawy woli — i tam wrosnąć w grunt; wtedy dopiero stanie się częścią charakteru i siłą społeczną.

„Ale jednocześnie utraci charakter krytyczny i wyraźne uzasadnienie; przestaje wtedy znosić wszelką opozycyę, wszelkie powątpiewanie, nie pozwala na żadną zmianę, na żadne ustępstwo, słowem staje się dogmatem“. *(Les origines de la France contemporaine)*.

Tym to właśnie językiem przemawia do nas wiara. Nie filozofuje ona, nie rozprawia, ale na każde zasadnicze pytanie go-

tową już ma odpowiedź, którą podaje nam w formie stanowczej i apodyktycznej.

Tego jednak właśnie nie mógł darować jej racyonalizm. Wedle niego bowiem odrzucić wprost należy każdą zasadę, każden dogmat, każdą teoryę, której rozum uzasadnić i udowodnić nie potrafi należycie.

Poczęto przeto uderzać taranem krytyki oraz miażdżącego wszystko sceptycyzmu w dogmata i zasady katolickie, poczęto burzyć dotychczasowe podstawy wierzeń i pojęć etycznych zakwestyonowano nawet możliwość jakiejś pewności w tym względzie. Wedle najgłośniejszego apostoła racyonalizmu, Renana, każda definicya absolutu zawiera w sobie sprzeczność, albowiem wiedzieć nie możemy, czy Bóg istnieje sam w sobie i jest czemś realnem, czy też jest najwyższym ideałem, wytworzonym przez nas samych i po za umysłem naszym nie mającym racyi bytu!

Ładna teorya! Idąc tą drogą z konieczności dojdziemy w końcu do skrajnego nihilizmu i ateizmu...

Oto jak trafnie opisuje Sienkiewicz robotę tego rodzaju krytyka — maniaka:

„Mnie w głowie się nie mieści, jak można każdej zasady, choćby od wieków nie wiem jak uświęconej, nie obejrzeć z obydwu stron, nie rozłożyć jej na części i cząsteczki atomy, słowem, póty rozkładać, póki się nie rozsypie w proch i nie da się już złożyć z powrotem". („Bez dogmatu" Część IV. Str. 13).

W ten to sposób racyonalizm odebrał ludziom to, co daje im wiara i tradycya, a w zamian za to nie potrafił im dać nic pozytywnego. Każden po swojemu rozwiązywał zasadnicze kwestye życia, a więc każden rozsądzał je inaczej, aż zniechęcony tem ogół czytelników wpadł w końcu w sceptycyzm.

Pewnem zostało to tylko, że nie ma już dogmatów między ludźmi, czyli że nie ma nic pewnego i stałego na świecie.

Ludzie zostali bez dogmatu, a tem samem bez ideału, bez programu, bez celu i myśli przewodniej, która przyświecałaby im życiu i górowała nad innemi pragnieniami człowieka. Zabrakło tego, dla czego ludzie poświęcać się zwykli na świecie.

W ślad za racyonalizmem przyszedł liberalizm, jako reakcya przeciwko uciskowi wolności i sumienia.

Pokładano w nim wielkie nadzieje, upatrywano zapowiedź jakiejś lepszej, szczęśliwszej ery.

Nadzieje te jednak wkrótce się rozwiały. Racyonalizm śmiał się z powagi, wyszydzał dogmat. Liberalizm śmiać się począł z praw i przywilejów niesłusznych, a skończył na wyśmiewaniu powinności i obowiązków człowieka względem Boga i kościoła katolickiego. Wziął on sobie za zadanie wyzwolenie człowieka z wszelkich więzów, chciał mu dać wolność większą, niż sama natura mu przyznaje. Opublikowano więc wolność przekonań religijnych, wolność słowa, wolność prasy, wolność sumienia, wolność głosu, wolność handlu i przemysłu, wolność konkurencyi. — zapomniano tylko o wolności wewnętrznej, duchowej, o panowaniu nad żądzami i namiętnościami swemi.

Zapomniano, że na nic się nie zda ludziom wolność zewnętrzna, jeżeli staną się niewolnikami swych namiętności. Tymczasem liberalizm z konieczności doprowadzić musiał ludzi do tej niewoli wewnętrznej, gdyż znosząc obowiązki i podsycając instynkta, osłabia w nas ducha i wytrąca nam broń do walki z ciałem.

Moralność uważa on za sumę pewnych, bezmyślnych przyzwyczajeń, które dla „światłego krytyka" są tylko prostym przesądem, nie pozostawiającym żadnych skropułów w sumieniu.

Jak więc dzięki racyonalistom z umysłów zniknęły zasady, tak dzięki liberałom z sumień, zniknęło poczucie obowiązków i powinności względem Boga i bliźniego.

W ten sposób charakter pozbawiony został swej naturalnej podstawy, a ludziom grunt z pod nóg usuwać się począł.

Nagle zabrakło im sprężyny życiowej, zakrakło bodźca i chęci do walki. Praca i walka — te ożywcze czynniki ducha ludzkiego — pozbawione zostały swej dźwigni.

„Kto jest sceptykiem względem wiary, sceptykiem względem wiedzy, konserwatyzmu, postępu, etc., — temu istotnie trudno coś robić" — mówi słusznie Sienkiewicz (Bez dogmatu cz. III).

„Krytyka wszystkiego wyżarła w nim siły dodatnie, brak mu podstaw, brak punktu wyjścia, brak wiary w życie"... *(Ibidem).*

Nie zabrakło natomiast złych i gorszących przykładów. Źle zrozumiana wolność prasy otworzyła szeroko ujście starannie ukrywanym dotąd skandalom. Zepsucie bystrem korytem, rozlało się teraz po świecie, zachęcając do złego przyczajone dotąd instynkta.

Wobec tej zachęty z wewnątrz i z wewnątrz do złego, wobec tego powszechnego wyłamania się społeczeństwa z pod zasad i obowiązków swoich, mało kto tylko uchronić mógł charakter

swój od skażenia. Jakoż brak charakterów stał się chorobą powszechną inteligentniejszych warstw społeczeństwa. Przedstawiciele ich zaczęli się powoli zsuwać w przepaść zepsucia i zgnilizny. Niejeden samobójczą ręką przeciął nawet pasmo swego żywota.

Zło górę brać zaczęło nad samozachowawczym instynktem człowieka.

Tego było ludziom za wiele. Przypomniano sobie istnienie praw i zasad odwiecznych, o których zapomniano już w praktyce, i poczęto wracać do wyśmiewanych niedawno jeszcze tradycyi i wierzeń przodków.

Obecnie świadkami jesteśmy tej „powracającej fali“ i tego odwrotu z drogi, po której ludzkość z dziecięcą brawurą kroczyła dotąd.

Łatwiej jest jednak burzyć, niż budować, łatwiej było wyśmiewać i niszczyć dawne tradycye i zasady, niż wyrobić i wpoić nowe przekonania w społeczeństwo.

Pozbawiwszy nas dogmatów i wierzeń naszych, nietylko wytrącono nam broń z ręki, ale uniemożliwiono nam dostęp do nagromadzonych przez wieki skarbów duchowych w dziełach myślicieli i filozofów chrześcijańskich, które dla dzisiejszych sceptyków i dyletantów stały się wprost czemś niezrozumiałem.

Chcąc więc pracować nad odrodzeniem ducha, nie posiadamy niezbędnych do tego wskazówek, nie mamy dzieł, któreby odpowiadały dzisiejszym wymaganiom myślącego ogółu. Cała prześliczna i bogata literatura dzieł ascetycznych w rodzaju nieocenionego Tomasza a Kempis jest dla niejednego z nas straconą pod błahym pozorem, że jest za mało krytycznie pisaną.

Przyzwyczajeni od młodości do krytycyzmu i niedowierzania, od natchnionych nawet pisarzy rządamy metody naukowej i ścisłych argumentów w dowodzenia.

Wobec tego nie pozostaje nam nic innego jak za pomocą starannej pracy cegiełka po cegiełce odbudować to wszystko, co zburzył racyonalizm i liberalizm wieku przeszłego, uwzględniając naukowe i filozoficzne zdobycze naszych czasów. Ciężka to wprawdzie i mozolna droga, ale jedyna, gdyż w ten tylko sposób trafić dziś można do przekonania inteligencyi i stworzyć trwałe podstawy do kształcenia charakterów.

Tem trudniejsze zaś nasze zadanie, że nie mając wzorów w tym względzie, pierwsze niemal kroki stawiać musimy na tej drodze.

Pojawiło się wprawdzie przed kilkoma laty fachowe dzieło w tym względzie we Francyi p. J. Payot'a p. t. *„L'education de la volonté“,* ale nie odpowiada ono ani duchowi, ani potrzebom naszego narodu. Każden naród odrębną ma naturę i odrębny charakter, każden też swoich posiada mistrzów i na nich przeważnie kształcić się i wzorować powinien. Nie cudzoziemskich przeto wzorów nam potrzeba, ale samodzielnej pracy, opartej na znajomości natury polaka i przystosowanej do jego rodzimych stosunków i potrzeb.

Nie brak nam zresztą cennych wzorów, począwszy od Adama Mickiewicza, a skończywszy na Sienkiewiczu, za nimi też pójdziemy nieraz w tej pracy.

Słowami też nieśmiertelnego wieszcza odzywam się zaraz na wstępie: „O ile powiększycie i polepszycie dusze waszą, o tyle powiększycie prawa wasze i powiększycie granice“ — a jako komentarz do nich przytaczam następującą uwagę nie mniej szlachetnego, choć mniej szczęśliwego, niestety, szermierza idei narodowej:

„W tem leży nieśmiertelna wielkość Mickiewicza, jako przewodnika narodu, że on pierwszy pojął i narodowi powiedział, że zbawienie Ojczyzny leży nie w kombinacyach politycznych, programach konserwatywnych lub demokratycznych, knowaniach lub koteryach, ale w odrodzeniu moralnem narodu, które musi się zacząć od odrodzenia jednostek, skupiających się w coraz liczniejsze i coraz goretsze ogniska, dopóki ich żarem i płomieniem nie przejmie się cały naród.

„Chwila zmartwychwstania Ojczyzny ukryta jest w wyrokach Opatrzności. Tyle atoli możemy wiedzieć, że nie wybije ona prędzej, za nim na nią zasłużymy, zanim wszyscy potomkowie Polski upadłej nie staną się już w duchu obywatelami Polski odrodzonej“ („Idea polska wobec prądów kosmopolitycznych“ St. Szczepanowskiego. Lwów. 1901, str. 181).

Wskazaną mamy przeto drogę do wskrzeszenia Ojczyzny. Zaczyna się ona od przeobrażenia serca i odrodzenia ducha każdego z nas, a kończy się na przeobrażeniu i odrodzeniu się całego społeczeństwa. Najprostsza i najpewniejsza to droga do lepszej i szczęśliwszej przyszłości dla narodu, a tem łatwiejsza, że nikt w niej przeszkodzić nam nie może i żadna ziemska potęga oprzeć się jej nie potrafi.

Ona też była mi gwiazdą przewodnią w tej długiej i mozolnej pracy.

Pomimo bowiem ściśle naukowej metody, praca niniejsza nie jest bynajmniej suchym tylko zbiorem dociekań filozoficznych lub zimnych spekulatywnych refleksyi. Przeznaczona do całej i niepodzielnej duszy człowieka, a w szczególności Polaka, płynie ona nietylko z głowy, ale i z serca, przemawiając do rozumu i woli zarazem.

Do czynu wzywa nas ona i czyn wywołać w nas pragnie, bo szalę zwycięstwa czyny tylko na naszą stronę przychylić mogą.

W przyrodzie wszystko, co żyje, — działa. A więc życie — to czyn, nie jest niem zaś ani myśl, ani uczucie samo.

Ktokolwiek przeto nie chce być zepchniętym na szary koniec w wszechświecie, ktokolwiek wyjść pragnie zwycięsko z powszechnej walki o byt i chce się utrzymać przy życiu, ten nie może poprzestać na kształceniu uczucia i myśli swoich, ale rozwijać powinien swą wolę i to w tym stopniu, aby myśl i uczucie o tyle tylko uwzględnione były w jego pracy, o ile prowadzą one do udoskonalenia i ukształcenia woli.

Celem przeto naszym czynna, czyli wykształcona wola, środkiem zaś — myśl i uczucie, oraz praktyka codzienna życia.

Oto program i plan niniejszej pracy.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Ks. Dr. Jan Ciemniewski.

ANDRZEJ RADWAN ZEBRZYDOWSKI

BISKUP KRAKOWSKI

(1496—1560).

MONOGRAFIA HISTORYCZNA.

CZĘŚĆ CZWARTA

I.

Sejm walny koronny, rozpisany do Piotrkowa na 22. kwietnia 1555 roku ukonstytuował się dopiero 28. t. m.[1]). Sejm ten zapowiadał się świetnie, ciekawie i oryginalnie. Wszystkich, biorących w nim udział i króla i panów i posłów a nawet biskupów samych opanowuje, dziwna gorączka religijna, która podnieca ich umysły i rozsierdza ku sobie. Wszyscy uzbrajają się do dyskusyi na temat reform kościelnych a nawet kwestyi wiary, mających służyć za pomost do ogólnej reformy państwa. Posłowie

[1]) Dzienniki sejmów wal. kor. 1555 i 1558 r. w Piotrkowie złożonych, wyd. Lubomirski, s. 1. Opracowania o sejmie 1555 r. znajdują się w dziełach: Zakrzewski, Powst. i wzrost Ref. w P. s. 74—95: Liubowicz, Istorya Ref. w P. s. 136—152; Bukowski, Dzieje Ref. w P. T. II. s. 290—319. Niemal wszędzie opowiedziano tylko pierwszy peryod sejmu, na którym rozgrywała się kwestya religii i Kościoła; opuszczono zaś, a raczej naszkicowano tylko drugi peryod tego sejmu niemniej ważny, nazwany w Dzienniku „aktem drugim", vel „o egzekucyi praw". — Król przyjechał do Piotrkowa w piątek 19. kwietnia. Dzień 22. kwietnia, to był poniedziałek po Niedzieli Przewodniej, pierwszej po Niedzieli Wielkanocnej. Opóźnienia sejmu na przeciąg całego tygodnia aż do drugiego poniedziałku byli powodem posłowie, bo ich w tym tygodniu wielu „jeszcze nie dostawało", jak pisze autor Dzienników Hier. Ossoliński, poseł ziemi krakowskiej.

wybierają marszałkiem sejmu zagorzałego akatolika i orędownika egzekucyi Mik. Sienickiego, znanego nam posła ziemi chełmskiej, którego imię zapisało się chlubnie w ostatniej kampanii sejmowej, stoczonej przed dwoma laty w Krakowie [1]). Przygotowują memoryały sejmowe, liczne interpelacye w sprawie zasadzonych przez biskupów za herezyę księży apostatów, Krowickiego, Lutomirskiego i innych, osłaniają nawet swoją opieką pobyt w Piotrkowie samego Lutomirskiego, który zanosi przed tron królewski apelacyę od wyroków klątwy i banicyi, rzuconych na niego przez prymasa i biskupa przemyskiego, przedkłada też powtórnie do oceny stanów swoje wyznanie wiary, potępione przez biskupów [2]). A owe zamiary posłów, zdążające do przeobrażenia sejmu na forum spraw religijnych, nie odstraszają wcale prałatów Kościoła od rozpoczęcia walki, której głównym motywem miała być wiara. Żałują oni, między nimi szczególniej Dzierżgowski i Zebrzydowski, że nie udało im się ściągnąć do Piotrkowa Hozyusza, twórcy konfesyi katolickiej, zapominając, że ten twardy ortodoxa byłby z góry zaprotestował przeciwko wszelkiej dyskusyi religijnej na sejmie. Porwani jednak ogólnym prądem religijnym, będąc poniekąd sami moralnymi sprawcami tego faktu, że król w zwołaniu niniejszego sejmu pod hasłem religii kierował się przedewszystkiem znanemi uchwałami ich synodu listopadowego z ubiegłego roku, przysposabiają się teraz jak umieją, zwłaszcza Zebrzydowski [3]), do walki z różnowierczą szlachtą, studyując zapewne kanony kościelne i przywileje duchowieństwa, najwięcej na sejmikach powiatowych atakowane. Ma się więc rozpocząć bój na sejmie pod hasłem wiary o kardynalne podstawy religijno-społecznego ustroju Rzptej. Wystąpią na jaw wielkie różnice w zapatrywaniach świeckich i duchownych na owe podstawy, zaostrzą się sprzeczne interesa materyalne jednych i drugich, wzrośnie zamęt pojęć tak religijnych jak społecznych, który rozdzielając sejmujące stany na wrogie so-

---

[1]) Dyaryusz tego sejmu w Scriptores Rer. Pol. T. I. s. 1—33, wyzyskany przez nas w rozdziale XIV. naszej pracy. O Sienickim, vide: Scrip. t. I. s. 77—79, ustęp pióra Szujskiego.

[2]) List Lutomirskiego z 17. sierpnia 1556 do Albrechta, księcia pruskiego v. Appendix w Liubowiczu; Istoria s. IX. nr. 5.

[3]) Hos. Ep. nr. 1412. Pisze Zebrzydowski; praesidia comparaveramus, quibus religionis causam optima niti arbitrabamur. W tym liście znajduje się także wiadomość, że Zebrzydowski wzywał Hozyusza na sejm, aby pomagał biskupom bronić religii.

bie obozy zaprzepaści pożądane dzieło reformy państwowej w rozbujałym fanatyzmie religijnym i rozgorzałej na nowo nienawiści stanów.

Ze względu na zapowiedzianą przez króla w uniwersałach sejmowych dyskusyę na temat waśni religijnych, jako głównego źródła niepokojów i nieporządków w Rzptej, przewidzieć łatwo można było, że pierwsze starcie na sejmie nastąpi między innowiercami a biskupami, a drugie w sprawie egzekucyi między izbą poselską a senatem, tembardziej, że do tego drugiego posłowie nie przysposabiali się z takim zapałem, jakiego wymagała rzecz sama, jakby przez to chcieli dać do poznania, że czynili je zawisłem od wyniku dyskusyi nad religią i związanym z nią ustrojem prawno-społecznem przyszłego Kościoła polskiego... Bez wątpienia też posłowie tacy, jak Leszczyński, Ostroróg lub Ossoliński i Sienicki, świadomi sytuacyi sejmowej i owych kolei, jakie już nieraz przechodziła sprawa reformy, rozumieli dobrze, jak ciężka ich czekała przeprawa tak z biskupami jak z panami. Będąc pewnymi zwycięstwa w walce z biskupami przy pomocy panów, nienawidzących równie goraco jak oni jurysdykcyi księżej, nie łudzili się wcale łatwą wygraną w sprawie egzekucyi, której panowie nie sprzyjali, podobnie jak biskupi, bo podkopywała ich materyalne, społeczne i państwowe stanowisko, jako przedstawicieli klasy magnackiej, tworzącej zastępy „przedniego“ stanu w Koronie czyli senatu.

Sejm rozpoczął się powitalną mową Sienickiego, wygłoszoną w imieniu izby poselskiej do króla. Mowa ta, będąca wyrazem pewnej finezyi ze strony posłów, użytej przeciwko biskupom, zapowiada w namaszczonym chrześciańskim tonie, że zbliża się Królestwo Boże i pokój, bo król chce sprawy religijne „z urzędu swego królewskiego a chrześciańskiego, jako jest wola i rozkazanie miłego pana Boga“ rozstrzygnąć a znajdzie w swoich szlachetnych usiłowaniach zupełne poparcie ze strony wdzięcznych swoich „poddanych“ [1]).

Na to powitanie otrzymali posłowie od króla przez usta kanclerza „łaskawą“ odpowiedź. Ocieski, „człowiek wielkiej głowy i wymowy“ według słów Ossolińskiego, autora dyaryusza sejmo-

[1]) Dzienniki s. 1—3. Mowy podawane będą w streszczeniu z nowożytną ortografią i interpunkcyą a z zachowaniem oryginalnych wyrażeń i zwrotów.

wego [1]), wyraził w niej w imieniu króla wdzięczność za „to powoleństwo“ od „rycerstwa“ i zapewniał posłów o najlepszych jego chęciach dla Korony, czego dowodem, że odjechał teraz Litwę, chociaż grozi jej wojną książę moskiewski, a przybył tu, aby „obmyśleć sprawiedliwość“ i „pokój pospolity“. Ponieważ zaś wie, że pokój ten mącą „zawaśnienia“ pomiędzy stanami z powodu różnego „rozumienia wiary chrześciańskiej“, chciałby na tym sejmie wspólnie „z radami swemi i z wiadomością posłów rycerstwa swego“ tym waśniom koniec położyć, zwłaszcza zaś „poszukać takowych sposobów“, żeby się pod niebytność jego w krajach koronnych „sprawiedliwość ludzka nie omieszkiwała“, aby się „te wszystkie wnętrzne rozterki zahamowały“, w końcu, aby „te wszystkie sprawy, które jeszcze od ojca J. K. M. zawisły, były odprawione“ i odsądzone [2]). Zaprowadzić ten pokój, ład i porządek potrzeba tem bardziej, że „cesarz turecki sąsiadem Koronie polskiej został tak bliskim, iż w małym poczcie ludzi basza jego budziński napatrzyć się może miasta krakowskiego, głowy Korony polskiej, i acz jeszcze tak jawnego nic nie pokazuje za tem przymierzem, które z J. K. Mcią ma, jednak to każdy baczyć może, iż to czyni więcej folgując potrzebom swym, które zinąd ma od nieprzyjaciół swych“, niż „dobrej chuci ku nam“. Król obawia się okazyi do wojny, o którą nie trudno na granicy. Słychać, że już teraz Turcy

[1]) Scriptores T. I. s. 111. s. 34—37: Szujski o Ossolińskim.

[2]) O odsądzeniu tych spraw zaległych była mowa także na sejmie krakowskim. Wniósł je wówczas także król, proponując utworzenie nadzwyczajnych sądów apelacyjnych — vide instrukcye na sejmiki z 15. października 1552 r. (Scriptores T. I. s. 302) i dyaryusz sejmu krakowskiego 1553 r. (Scriptores T. I. s. 1—3). — Wniósł je zaś dlatego, bo niedoszły były w r. 1552 z powodu grasującej wówczas zarazy proponowane na sejmie piotrkowskim owego roku sejmiki generalne, które miały owe sądy uchwalić. Czytamy w instrukcyach z 1552 r.: praeteritis Comitiis actum est in Senatu et cum Nuntiis ordinibusque, ut nonnullis Consiliariis haec provincia delegaretur — mowa tu o władzy sądowniczej — ut ii ad certum tempus locumque convenientes, lites omnes a quibusvis Iudiciis per appellationem ad Suam Mtem devolutas, cognoscerent et definirent, quo liberius eius Mtas in posteris Iudiciis vacare, omnesque controversias ipsa per se in Comitiis cognoscere et iudicare, sicuti cupit et debet, possit: eum autem ob rem Conventus novi particulares et generales automno praeterita iudici a Mte eius debuerunt... Quoniam autem ii Conventus automno praeterito propter pastem in multis locis grassantem peragi non potuerunt, nunc id Mtas R. cupit ad effectum.

„wolno jeżdżą po Spiżu“ i „barany biją“. Również dzieją się „wielkie szkody, najazdy i pobierania“ na wschodzie ze strony Wołochów i Tatarów a przyczyną tego to, że „ludu służebnego na pograniczu nie masz“. Właśnie król chciałby także w poczuciu swego obowiązku te granice zaopatrzyć wojskiem i prosi, aby i nad tem zechciał sejm się naradzić. Sam niebawem wrócić musi na Litwę, aby zabezpieczyć ją przed wielkim księciem moskiewskim, trzeba więc aby krainy koronne pod niebytność jego były zaopatrzone obroną pograniczną, którąby nie dozwoliła im „cierpieć od nieprzyjaciół przyległych“ [1]).

Po tej odpowiedzi kanclerskiej, będącej zarazem propozycyą tronową, wychodzącą wprawdzie od religii, ale kończącą się na sądach i obronie pogranicznej, na które potrzeba było naturalnie uchwały nowego podatku, zrzedniały miny posłów, spodziewających się czego innego po królu. To też panowie świeccy, wspólnym interesem w sprawach religijnych związani z szlachtą, chcąc ratować sytuacyę, poczęli utyskiwać tak samo jak kanclerz szczególniej na wewnętrzne „dolegliwości“ koronne, a pominęli milczeniem dalszą część propozycyi i żadnych pozytywnych wniosków i życzeń ze swej strony nie postawili. Natomiast biskupi, których zapewne w swych wotach dotknęli panowie, jako sprawców zamieszania w Koronie, zniecierpliwieni i zirytowani uderzyli gwałtownie na cały stan rycerski, w nim szukając winy wszelkiego złego. Mówili więc, że „stan rycerski targa się na jurystykcyę duchową, dziesięciny a dochody hamuje, kapłany wypędza“ — i surowie tego, jak pisze dyaryarz, dotykali, upominając króla, aby się w tem czuł, gdy się na ich jurysdykcyę targają, bo będą potem i na zwierzchność królewską. A tłumacząc mu — „iż to jest urząd Jego królewski, hamować te różnice wiary, nazywali go jedni Piotrem, drudzy zwierzchnim pasterzem wszech“ [2]).

Posłowie sprowokowani przez biskupów zawiązali ściślejsze koło rycerskie, gdzie zwykle omawiano sytuacyę sejmową i układano projekta i wnioski, i otworzyli dyskusyę na temat bezprawii, jakich się dopuszczali na szlachcie właśnie biskupi. Mówili więc o księdzu Lutomirskim, którego pozwał „o naukę luterską“ i „wywołał z ziemi“ arcybiskup Dzierżgowski „człowiek ani dowcipem ani urodą, ani obyczajami ozdobny“, o mieszczanach poznańskich

[1]) Dzienniki s. 3—5.
[2]) Dz. s. 5—6.

wygnanych przez biskupa Czarnkowskiego, o kapłanach prześladowanych przez biskupa Dziaduskiego, o księdzu Krowickim, pojmanym niegodziwie i podstępnie przez Zebrzydowskiego. Żalili się, że „księża prawem swem papieskiem jurysdykcyę swą wyciągać chcieli na szlachtę, któraby ich nauk papieskich posłuszna być nie chciała“, że także nadużywali swej godności kapłańskiej, bo zachodzili do domów szlacheckich, skąd „żony albo dziewki ku sobie zabierali, jakoby nauczać wiary“, a właściwie namawiać je „niewstydliwie ku lubuści“; że również „po dzierżawach swych dziewki poddanym swym gwałtem brali“, a czynili to nawet „niepośledniejszego stanu duchownego“. Byliby, powiadają posłowie, „na takowe ich zbytki jawnie się nie uskarżali“, gdyby nie to, że sama propozycya sejmowa żąda — „aby te różnice stanu duchownego i rycerskiego były stanowione“, jak niemniej i to, że „duchowni panowie wotując wszystkie winy na stan rycerski kładli [1])“: Z dyskusyi nad bezprawiami księży przeszli posłowie do dyskusyi nad samą religią. Zachętą do niej była znana zapowiedź królewska, że na tym sejmie ma być coś postanowionem „około zahamowania różnego rozumienia wiary“. Nie podaje wprawdzie dyaryusz toku tej dyskusyi, domyślać się jednak można, że chociaż posłowie nie byli jednakowych zapatrywań religijnych, jednak zgodnie dążyli do tego, aby wystąpić wobec króla i senatu jako skonsolidowane stronnictwo religijne. Zgodzili się bowiem na to, że zewnętrznym wyrazem ich solidarności religijnej, miało być jedno wspólne wyznanie wiary, które postanowili teraz ułożyć i przedłożyć na pierwszej sesyi sejmowej. Korzystając z obecności na sejmie Lutomirskiego, którego konfesya była wówczas aktualną kwestyą, wszystkim znaną, zdecydowali się na to, aby on zredagował to wyznanie w imieniu koła rycerskiego. Lutomirski podjął się bezwątpienia chętnie żądanej a zaszczytnej dla siebie redakcyi, licząc się zaś z chwilą niecierpiącą zwłoki, streścił tylko swoją własną konfesyę, powyjmował z niej artykuły w przeważnej części wprost i dosłownie, a tak sporządzone pospieszne, krótkie i zwięzłe streszczenie jego wyznania, zamknięte w 24 artykułach wiary, uznali posłowie jako konfesyę koła rycerskiego“[2]). Rzecz prosta, że ułożona w ten sposób konfesya, ogra-

[1]) Dzienniki s. 6—8.

[2]) Finkel, Konfesya na sejmie piotrkowskim 1555 r., w Kwart. hist. R. X. 1896, s. 257—285. Na stronie 268 dowodzi Finkel, że redaktorem Konfesyi poselskiej był Lutomirski. Przy artykule zawiera-

niczona tylko do niektórych symbolów wiary, w głównych zasadach polegająca podobnie jak konfesya samego Lutomirskiego na augsburskiem lub wirtemberskiem wyznaniu wiary, nie obejmowała tem samem obszernie i wyczerpująco wszystkich tajemnic wiary i zagadnień religijnych, nie mogła też uchodzić za rzeczywiste wyznanie wiary całej szlachty. Niektóre artykuły, na które z pewnością nawet w kole rycerskiem nie osiągnięto by zgody, pominięte zostały w niej po prostu milczeniem, na niektóre znowu w niej zamieszczone nie zwrócono w pośpiechu należytej uwagi, niejednych wreszcie nie rozumiano wcale [1]). W ten sposób udało się Lutomirskiemu wpleść w konfesyę skrajną zasadę stankaryańską — „iż tylko samemu Bogu Ojcu, a nikomu innemu modły czynić mamy... a do tego Boga przystępu jednacza, prokuratora żadnego innego nie mamy, jedno tylko samego Chrysta Pana“ [2]) — czyli, że Chrystus nie jest Bogiem, ale tylko pośrednikiem, medyatorem, między Bogiem a ludźmi. Pomimo jednak pośpiechu, z jakiem zredagowano artykuły konfesyi, nie zapomniano w jednym z nich zaznaczyć, że „ewangelia ma być każdemu człowiekowi językiem jego własnym oznajmowana“ [3]), czem chciano publicznie zaprotestować przeciw uniwersalności Kościoła rzymskiego i dać do poznania przesądnym prałatom katolickim, że mylą się, twierdząc, jakoby język polski niesłusznie gardzony przez nich, miał pospolitować obrzadki kościelne i nie zasługiwać na te samo, jeśli nie na większe względy, co używany dotychczas język łaciński [4]). Pomijając więc dogmatyczną stronę konfesyi,

---

jącym egzegezę tej Konfesyi podaje autor przedruk rękopisu z tek Gołębiowskiego, znajdujących się w bibliotece hr. Dzieduszyckich we Lwowie, którego tytuł: Confessio nunciorum cum responso episcoporum. Responsum die 23. Mai 1555 ferebatur; tekst rękopisu polski, w którym po krótkim wstępie idą na przemian po sobie ustępy zatytułowane „confessio“ i „odmowa“ czyli refutacya artykułów poselskich, napisana zdaniem szanownego autora przez Marc. Kromera, kanonika krak., który nie wahał się używać w pismach religijnych języka polskiego i w tym języku napisał w tym czasie broszurkę: Rozmowy dworzanina z mnichem, na którą się sam powołuje, zresztą vide: Hos. Ep. nr. 1410.

[1]) Finkel, jak wyżej s. 276, 282 i 285, niżej obszerniej.

[2]) Finkel, str. 280 i 281.

[3]) Jak wyżej, str. 279.

[4]) Wierzbowski, Uchańsciana T. V. R. VII. s. 284. — Hozyusz w liście do Uchańskiego wyraźnie oświadcza: Ac aequum quidem fuerat, ut catholicus Episcopus catholica hoc est latina lingua scriberet ad catholicum. Hos. Ep. nr. 1508.

która wiele pozostawiała do życzenia, była ona przecież aktem wielkiej doniosłości pod względem społecznym i politycznym, bo jednoczyła pod jednym sztandarem zebranych na sejmie wyznawców różnorodnych, krzyżujących się ze sobą, sekt w Polsce.

Rzecznikiem tego zjednoczenia religijnego osiągniętego chwilowo w kole rycerskiem miał być stosownie do uchwały koła Marszewski, poseł ziemi kaliskiej, który odczytał na najbliższej sesyi sejmowej odpowiedni piśmienny memoryał, a potem przedłożył do oceny stanów konfesyę posłów.

W memoryale swym oświadczył na samym wstępie Marszewski, że posłowie stosując się do propozycyi króla, wot panów i „rozkazania pilnego braci swej starszej po powiatowych sejmiech“ postanowili radzić przed wszystkiemi innemi sprawami naprzód: *de religione et vero cultu divino,* jako „o rzeczy przedniejszej, wielkiej i ważnej“. Bo też — tłumaczył Marszewski — „nasłyszały się uszy W. K. M. i uszy też nasze od ich mości panów duchownych i niektórych świeckich, żeby między stanem rycerskim namnożyć się miało niepobożnych, nieprzystojnych, nowych, niezgodnych, albo różnych i szkodliwych... postępków a spraw, z którychby naprzód przeciw p. Bogu zuchwalstwa, potem przeciw ich m. p. duchownych zwierzchności... na ostatek na zwierzchność W. K. M... już ostatnie wzgardzenie pochodzić miało“. Tymczasem zarzut to niesłuszny, bo nieprawdą jest, jakoby rycerstwo buntowało się przeciw Bogu, przeciw panom duchownym, albo przeciw królowi. Ostatni zarzut tem cięższy, że — ani kroniki żadne, ani pamięć najdalsza tego nie okaże, żeby rycerstwo kiedy co nieprzystojnego przeciw panu swemu czynić, albo i myśleć miało, i owszem zawżdy, też w największych niebezpieczeństwach, wiarę, cnotę i stateczność panom swym chowało, aż też do gardła i ostatniego krwi przelania swego“. Jeśli zaś rycerstwo to protestuje przeciw sądom duchownych, to czyni to dlatego, że — „oni w sądy własne W. K. Mci, a nie w swe, i w urząd, sobie, ani boskiem, ani koronnem prawem zwierzony i owszem zakazany, upornie a niesłusznie mocą a gwałty wielkimi się wdawają“. Świadkami tych nadużyć ich „kilkanaście osób zacnych z zaszczytnych domów“ przez nich pokrzywdzonych. Wszak to bezprawie, nic więcej, gdy — „oni o cześć, majętność, gardła... bez wszelakiej sprawy dopuszczenia... cudzoziemskim obyczajem, dowodów słyszeć nie chcąc, z przyprawami prawie pogańskiemi, z hakownicami, zbrojnych ludzi poczty wielkimi, sami tylko z doktorów kilkiem...“ sądzą, skazanych nawet

„morzą głodem“ [1]). A przecież zabrania im tego naprzód „Boskie prawo“, boć powinni raczej przykładem „przodków ich mości apostołów“ nauczać *„spiritu lenitatis“*... „na wszystek świat ewangelium kazać“... wojować „krzyżem nie mieczem“, błędy wykorzeniać „słowem Bożem nie gwałtem“.... który im wcale „nie przystoi“.., „Broni też tego mościom prawo koronne, bo tylko sam W. K. M. i to na sejmie walnym z radami ich. m. o takie dotkliwe rzeczy sądzić nas możesz“... „A tak nie stan świecki Najjaśn. a Miłościwy królu“, dowodzi Marszewski „znieważył sobie jurysdykcyę duchowną, skądby w podejrzenie o jurysdykcyą W. K. M. miał przyjść, ale ich m. panowie znieważyli sobie stan świecki naprzód gwałtem, a mocą wielką, dociskając się jurysdykcyi nad nim tej, która ich mościom nie należy, potem i W. K. Mci samego jurysdykcyą na stronę odmiatając i wdawając się mocą w to, co W. K. Mci jest własna i sąd, a nie ich mości, k'czemu się sami w wociech swych jawnie przyznali, niektórzy W. K. M. Piotrem, niektórzy zwierzchnim pasterzem zowiąc“... Tak samo nie prawdą jest, jakoby tylko stan rycerski dopuszczał się „zuchwalstwa przeciw Bogu“, aby profanował sakramenty, rabował kościoły i przywłaszczał sobie dochody kościelne, jak powiadają panowie duchowni, chociaż nikogo wyraźnie „nie mianują“, bo przecież każdemu wiadomo, jak i oni grzeszą „przeciw panu Bogu i przeciw prawom koronnym“. Wszak „najeżdżają gwałtem domy szlacheckie, nasyłają sługi“, nie należących do ich jurysdykcyi „w więzieniu dzierżą“ [2]), „cudze żony“ uwodzą... „to są większe zuchwalstwa, któreby W. K. Mci wyliczać mogli posłowie zosobna i długo“ [3]). Ale mimo to przeciw zwierzchności ich

---

[1]) ...bo skazał... (rozumie się Zebrzydowski) księdza Kurowskiego na „fames i na umorzenie głodem... str. 12 Dzienników.

[2]) Mówiąc o tem, miał Marchewski na myśli pojmanie Krowickiego w Pinczowie u Oleśnickiego przez sługi Zebrzydowskiego.

[3]) Że posłowie mówili prawdę, świadczy o tem także list Uchańskiego do Hozyusza, znany nam z odpowiedzi tegoż z 2. listopada b. r., Hos. Ep. nr. 1508. Uchański widział właśnie w upadku moralnym samego duchowieństwa upadek jurysdykcyi kościelnej; in pronuntiandis haereticis aliud quaeri videbatur, quam ut errores extirparentur... a dalej: quibus est de haereticis iudicandum, non sunt Petri et Pauli similes, sed multis et ipsi facinoribus cooperti. Owe uboczne cele w sądzeniu spraw o herezyę były zwrócone przedewszystkiem ku majątkom zasądzonych, które rozdrapywali ich sędziowie. Mimo to broni Hozyusz jurysdykcyi księżej, tłómaczy jednak Uchańskiemu, że do duchownych

nie powstają..., i owszem, gdy karać będą, uczyć prawdziwie, żyć podług pisma świętego, będzie rad stan rycerski cześć im wyrządzać, którą i na ten czas każdy wyrządza i wyrządzać chce, jako Radzie W. K. Mci, i dochodów ich mościom żadnych bronić nie będzie i nie zadzierżawiać... pod rygorem istniejących ustaw. Co więcej, ponieważ „bez miłości chrześcijańskiej żadne insze stanowienia Rzptej dobrzeby nie szły“ — nie żądają posłowie „pomsty“ na panach duchownych a nawet proszą, aby i W. K. M. pomsty zaniechał“, ale natomiast „utwierdzić raczył aż do postanowienia *concilii generalis interim* religijne“, któreby zapewniało „wolność słowu Bożemu“ a panów duchownych zobowiązywało do zaniechania jurysdykcyi, — „która się im nie należy“, pozostawiając im ją tylko w tych sprawach, w których nie chodzi „o cześć garło lub mienie“; w końcu aby „*autoritate praesentis conventus*“ skasował sądy i dekrety, które o którychżekolwiek osobach w tej mierze ich mości już uczynili“... A ponieważ także oni oczerniają stan świecki, jakoby wolności słowa Bożego żądał więcej — „dla licencyi ciała niżli dla chwały Bożej“, przeto — „abyś W. K. M. wyrozumieć raczył, acz tak jest albo nie... chcemy“, — powiada Marszawski, — „podać W. K. Mci wyznanie wiary naszej, ...i nie wątpimy, że W. K. M. nas przy niem a przy tych wszystkich prożbach pokornych naszych a słusznych zostawić miłościwie będziesz raczył a to nam z kancelaryi W. K. M. raczysz rozkazać autentice wydać“... — „uczynisz tem W. K. M. rzecz chwale boskiej, rzecz... godną chrześcijańskiego pana... i tu na tym świecie W. K. M. długowieczną i na onym nigdy nieustałą sławę otrzymać będziesz raczył, a u poddanych swych błogosławieństwo ustawiczne“ — bo wtedy, insze sprawy koronne wszystkie dobry koniec da pan Bóg na tym sejmie wezmą“ [1])...

Odezwa Marszewskiego zakończona oficyalną proklamacyą odszczepieństwa koła rycerskiego od Kościoła katolickiego przeniosła odrazu narady sejmowe na grunt religijny i kościelny. Narady te tak z powodu swego charakteru religijnego, jak z powodu zbyt wielkiej przepaści, jaka niespodziewanie otworzyła się mię-

———

powinien należeć jedynie sam sąd w rzeczach wiary, a kary za herezyę, infamia lub konfiskata majątku, powinny być wymierzane przez organa świeckie: sunt leges imperatorum, sunt constitutiones patriae, secundum quos principibus in eos, scl. haereticos, animadvertere licet. Protest więc szlachty był słuszny i legalny.

[1]) Dzienniki s. 8—14.

dzy posłami a biskupami, reprentującymi dwa światy, nowy i stary, toczone były z początku oddzielne w dwóch obozach, świeckim i duchownym, w nieobecności króla, który czuwał tylko zdala nad ich przebiegiem i wynikiem. Stało się to za sprawą senatorów świeckich, którzy z początku podszywali się politycznie pod nazwę przyjaciół pokoju, pragnących „hamować podług zwyczaju“ rzekomo *„per modum concordiae“*, — „różnice między stanem duchownym a rycerskim“. Obóz świecki złożony z kilkunastu wydelegowanych z łona izby posłów i z senatorów świeckich, obradował pod prezydenturą pierwszego senatora Korony, Jana Tarnowskiego, hetmana w. k. i kasztelana krakowskiego. Obóz duchowny złożony z biskupów, doktorów i prałatów, przebywających na sejmie, celem niesienia pierwszym pomocy w sprawach kościelnych, skupiał się „na dworze arcybiskupim“ pod egidą sędziwego prymasa Kościoła, Mik. Dzierżgowskiego“ [1]). O polubownem załatwieniu spraw poruszonych w sejmie nie było mowy. Obydwa obozy pomimo pośrednictwa panów, nieszczerze propagujących zgodę, stanęły wobec siebie na wojennej stopie. W obozie pierwszym raz w raz podnosiły się głosy, że — „posłowie niczego inego od panów duchownych nie potrzebują, jeno nauki słowa bożego“ w tych rzeczach, w których według twierdzenia biskupów oni są źle pouczeni „od swych kapłanów“, trzymanych „nie z papiezkiego postanowienia“, ale z „woli i z wyboru prawowiernych chrześcian“. W obozie drugim wrzało i gotowało się w wzburzonych umysłach dygnitarzy Kościoła, którzy według słów dyaryusza „warując się ojca swego papieża“ — wręcz oświadczyli, że z posłami „nie chcą się wdawać w rozmowę i w naukę“. Posłowie zwolna ale statecznie dążyli do tego, aby wywalczyć państwu zupełną wolność sumienia, żądając — „aby wolno było szlachcie i każdemu innemu chować kapłany sobie, które chcą, a księża biskupi, aby ich nie nagabały ani hamowały szczere słowo boże powiedzieć i według niego sakramenta rozdawać“. Widać w tych dążeniach przedstawicieli szlachty wpływ prac Modrzewskiego, czuć w nich obecność jego własnej osoby. Bo też był podówczas w Piotrkowie ten szlachetny obrońca wolności sumienia i praw człowieka [2])... Biskupi natomiast radzili

[1]) Dzienniki, s. 14 i 15.

[2]) Ossoliński, Wiadomości hist. kryt. T. IV. s. 68—136, przypis: 63 s. 134, wyjątek z A. Fricii Modrevii narratio simplex, Pinczoviae 1561. Tam też zawiera się wiadomość o pogróżkach ze strony duchowieństwa: Atque ita tam (1555) Petricovia discessisae, ut cala-

przez ten czas nad tem, jakby obalić przedłożoną na sejmie konfesyę koła rycerskiego, ową główną twierdzę, w której murach ukryte zastępy posłów zwycięzko mogły utrzymać plac boju. Zapalczywy a wymowny, pełen wojowniczego ducha, Zebrzydowski był w swoim żywiole. On, bezwątpienia jeden z pierwszych, nie łudził się wcale, że każdy przewrot religijny groził zamachem na dotychczasową hierarchię kościelną. Trzymał więc wysoko sztandar bezwzględnej opozycyi przeciw posłom i przypuszczał ataki i szturmy, które miały zrobić wyłom w owej na pozór niezdobytej ich twierdzy. Rezultatem tej roboty i usiłowań jego było to, że biskupi postanowili ułożyć przeciw konfesyi koła rycerskiego „odmowę“ czyli „konfutacyę“ i przedłożyć ją jeszcze w czasie sejmu królowi i panom celem rozerwania sojuszu, dokonywającego się właśnie między nimi a posłami. Redakcyę owej odmowy poruczyli uczonemu prałatowi kapituły krakowskiej, Dr. Marc. Kromerowi [1]). Niebezpieczeństwo groziło wielkie. Wszystko zależało od pospiechu i energii w działaniu. „Namowom“ bowiem posłów, którzy nieustannie *„hoc solum urgebant“*, aby „szczere słowo boże“ było opowiadane, a „wszystkie ustawy“, które na to nie pozwalały, były zniesione, ulegli tak panowie, pośredniczący zgodę, jak wyglądający jej niecierpliwie — król. Sojusz między posłami, panami a królem stał się wreszcie faktem, urzędownie później biskupom przez delegatów senatu świeckiego obwieszczonym, który musiał uderzyć w nich jak grom. Zwycięstwo idei Modrzewskiego, mającego zwolenników nawet między duchowieństwem, bo i Drohojowski i Uchański i wielu innych liczyło się do jego przyjaciół, zdawało się być zapewnionem. Przeciwko niemu i jego pismom, jako działom zbyt wielkiego kalibru,

---

mum mihi minitaretur, quo me meaque scripta impugnaret. Cudzoziemcy liczyli Modrzewskiego do obrońców praw człowieka s. 91. Natomiast sławny jezuita Piotr Canisius, zamieszkały w Wiedniu podobnie jak St. Hozyusz — w liście swoim z 6. listopada 1554 podanym do Kromera utyskując, że Kraków zarzucał Wiedeń luterskimi pismami a na obronę katolicyzmu ani jednego nie dostarczał, — żalił się na Modrzewskiego i twierdził, że księga o Kościele, z dzieła jego o poprawie Rzptej, z przyłączonemi apologiami w oczach wszystkich prawowiernie myślących hańbiła i króla i naród cały, bo wystawiał M. w niej na sztych papieża, biskupów, synod i brał na siebie obronę błędów religijnych dawno potępionych, s. 106 i 133. — Patrz także przypisy do listu Hozyusza do prymasa: Hos. Ep. nr, 1355.

[1]) Hos. Ep. nr. 1410 i przypis. 2. str. 537. t. II.

walczyć mogli na razie biskupi tylko czczemi pogróżkami [1]), anonimami itp. Wobec tego rozum stanu, którym pomiędzy nimi celował Zebrzydowski, nakazywał im zwrócić całą uwagę na króla i panów, układających właśnie z posłami zasady równouprawnienia wyznaniowego pod nazwą „artykułów", mających być przedmiotem dyskusyi senatu i sejmu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. Tadeusz Troskolański.

---

[1]) Ossoliński, jak wyżej. Teraz pojawić się miał tylko jakiś anonimowy dyalog przeciw jego broszurze o komunii pod dwiema postaciami: editus est anonymus dyalogus contra meum scriptum de utraque parte coenae dominicae, Ossoliński str. 134, wyjątek z pisma A. Fricii Modrevii Orichovius, wyd. w Piotrkowie 1562, pod nr. 64. — W liście Hozyusza podanym w „Hosci Epistolae" nr. 1410 czytamy wzmiankę: Fricii libellum legi, quod licet Cracoviae quidvis typis excudere, probare non possum. W tym czasie ułożył Modrzewski w Piotrkowie dyalog trzeci de utraquae specie eucharistiae, wydany później przy trzeciem wydaniu dzieła De Emendanda Republica, Basileae 1559. Czy dyalog ten trzeci był już znany wówczas biskupom, nie wiadomo, ale musiał być znany dyalog pierwszy i drugi, wydane obydwa w r. 1549. Może więc wiadomość o tem, że Modrzewski zajmował się wówczas układem trzeciego, wywołała ów anonim, o którym sam wspomina.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ"